

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

8.10.72

41 (777) Rok XV Cena 1.50 zł

WITOLD GÓRALSKI

Spotkanie Z MARCUSE'M

W roku 1930 we Frankfurcie nad Menem kilku młodych naukowców: Th. W. Adorno, M. Horkheimer, H. Marcuse i inni, założyli Instytut Badań Społecznych zjednoczeni wokół własnej krytycznej wizji ówczesnego kapitalizmu. Nikt wtedy nie przypuszczał, że idea i jej nosiciele po kilkunastu latach staną się nie tylko sławni, ale będą przewodzić w wielu dziedzinach życia naukowo-społecznego na świecie. Największy triumf spośród twórców „szkoły frankfurckiej” odniósł dziś już siedemdziesięcioletni Herbert Marcuse, aktualnie dziekan Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu San Diego w Kalifornii.

„Marksista twórczy i otwarty, neomarksista, uczeń i prorok Marksa, Marks XX wieku, przywódca ogólnoświatowej rewolucji socjalistycznej” — to tylko niektóre określenia, jakimi obdarzała w 1968 roku prasa światowa sędziwego filozofa. Studenci nieobznajmieni z marksizmem, nosili jego portrety po ulicach Paryża, Frankfurtu, czy Berlina, skandując: „Marks bogiem — Marcuse jego prorokiem — Mao — ich mieczem”.

Droga Marcuse'a do sławy trwała wiele lat. W związku z prześladowaniami Żydów opuścił Niemcy hitlerowskie. Pracował początkowo w Szwajcarii, by przenieść się ostatecznie do Stanów Zjednoczonych, gdzie przeistoczył się w antykomunistę. Pracował w Urzędzie Badań Wywiadowczych jako kierownik sekcji, następnie w Instytutach

Dalszy ciąg na str. 6

Nie tylko o Hubalu

ROZMOWA Z BOHDANEM POREBĄ reżyserem przygotowującym film pt. „Szalony major”

Poznałem postać pasjonującą. I poprzez jej cechy charakterologiczne i przez to, że układa się, mimo swego skomplikowania, w klarowny obraz symbolu. Hubal — to symbol narodu, który nie przestał walczyć, nie podpisał aktu kapitulacji.

Czytaj na str. 5

KONRAD FREJDlich

ZATRZYMAĆ rzekę

REPORTAŻ
Z PRZEGRODZENIA
PILICY

Czytaj na str. 6

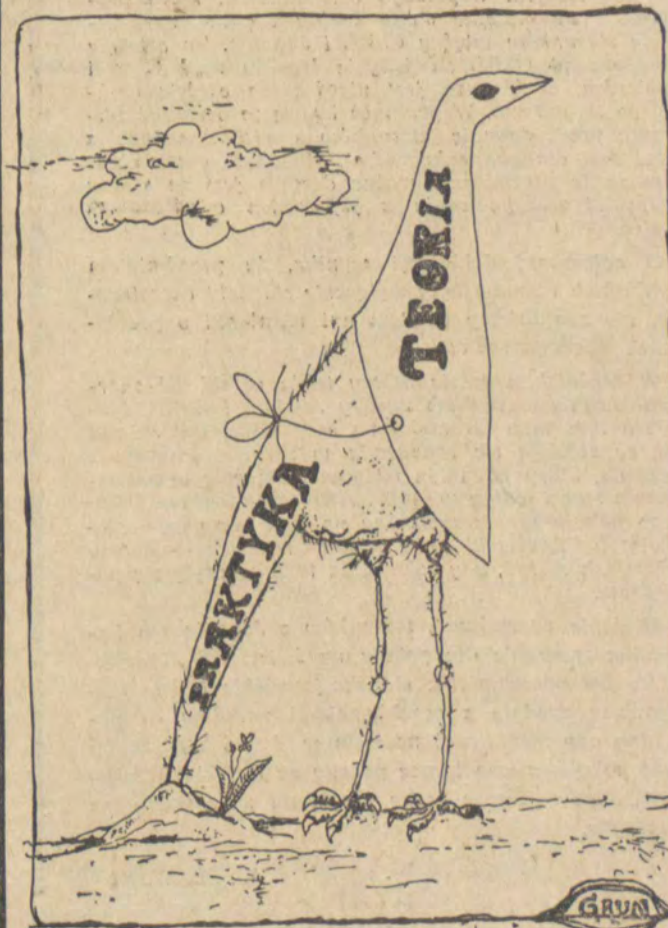


Szansa młodych

Pod takim tytułem rozpoczynamy druk artykułów, w których chcemy prezentować Czytelnikom postawy młodego pokolenia, jego dążenia, marzenia i zamiary. Chcemy pokazywać nie tylko miejsce i rolę młodych specjalistów z wszelkich dziedzin życia we współczesnym społeczeństwie, ale również możliwości, jakie się otwierają przed wszystkimi ludźmi z inicjatywą.

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ GRUN





Wydarzeniem tygodnia jest starannie przygotowywana od pewnego czasu wizyta Edwarda Gierka i towarzyszących mu osób we Francji. Ten fakt doniosły nie tylko dla bilateralnych stosunków znajduje na łamach prasy francuskiej nie mniejsze echa niż w naszym kraju. We francuskich masowych środkach przekazu wiele się pisze i mówi o Polsce, zwłaszcza o Polsce 1972 roku. Relacje utrzymywane są niemal powszechnie w przyjaznym tonie. Dziennikarze akcentują przede wszystkim zmiany, jakie nastąpiły w naszym kraju w okresie dwuletnim. Upatrują w Polsce gospodarczego partnera Francji, podkreślają, że na tym polu są liczne niewykorzystane dotąd możliwości.

Wizyta ma najpełniejszą oprawę, rezerwowaną dla głów państwa, w czym ujawnia się jej ranga i znaczenie, jakie do rozmów przywiązują gospodarze.

Przejawem naszych szerokich kontaktów na arenie międzynarodowej jest również ubiegłotygodniowa wizyta w Polsce premiera rządu Malezji — Tun Abdul Razaka, zakończona m. in. podpisaniem umowy o współpracy gospodarczej i technicznej.

O naszej aktywności, której wynikiem są także m. in. dwie wspomniane wizyty, i kierunkach pokojowych wysiłków Polski na forum międzynarodowym — mówił w Nowym Jorku min. S. Olszowski.

W ONZ toczy się bowiem debata generalna. Zdaniem akredytowanych tam dziennikarzy — debata generalna jest zawsze najbardziej miarodajną dla klimatu politycznego w świecie. Tegoroczna jest szczególnie interesująca i, jak dochodzą słuchy, czas jej trwania będzie wydłużony, tak zresztą jak i samej sesji.

Z długiej listy zapisanych do głosu przewodniczących delegacji przemawiali już Rogers i Gromyko, a więc przedstawiciele mocarstw najbardziej ważących na procesie odprężeniowym. Uważa lektura ich przemówień wykazuje, że podczas gdy Związek Radziecki z doniosłych porozumień tegorocznych wyprowadza propozycje dalszych kroków pokojowych — Stany Zjednoczone nie są gotowe do podjęcia nowych rozwiązań.

Na sesji ONZ min. Gromyko uzasadnił radziecką propozycję, wniesioną pod obrady Zgromadzenia Ogólnego — „rezygnacji z użycia siły w stosunkach międzynarodowych i uprzedzenia do wszystkich czasów zakazu użycia broni jądrowej”. Jej istota polega na tym, aby wszystkie państwa — niezależnie od ich ustroju, wielkości, liczby ludności i tego, czy posiadają broń jądrową, czy też nie — wyrzekły się stosowania siły przy rozwiązywaniu sporów. Broń jądrowa i konwencjonalna przestawały być „argumentem” w kontrowersyjnych kwestiach. Zobowiązanie takie nie mogłoby jednak godzić w prawo do samoobrony indywidualnej i zbiorowej. Min. Gromyko wyraził przekonanie, że Zgromadzenie zaleci Radzie Bezpieczeństwa podjęcie jak najszybciej odpowiedniej uchwały.

Nowa propozycja jest logicznym następstwem walki, jaką ZSRR prowadzi na międzynarodowym forum o redukcję zbrojeń. Już na pierwszej sesji ONZ w 1946 roku Związek Radziecki zaproponował rezygnację z broni jądrowej, a na XIV — w 1959 roku — po raz pierwszy zgłosił projekt całkowitego i powszechnego rozbrojenia. Obecna propozycja jest jakgdyby częścią tamtego projektu, jej przyjęcie byłoby podjęciem rozwiązania jak najbardziej realistycznego i w sytuacji świata lat siedemdziesiątych najbardziej skutecznego. Przypomnijmy, że w 1969 roku Zgromadzenie Ogólne postanowiło ogłosić lata 1970—79 dekadą rozbrojenia.

W minionym tygodniu gościł w Pekinie premier rządu japońskiego — Tanaka. Jego wizyta zakończyła się podpisaniem wspólnego oświadczenia, które proklamuje zakończenie stanu wojny i pełną normalizację stosunków między ChRL i Japonią. Ta ostatnia uznaje rząd ChRL za jedyne legalny rząd Chin i stwierdza, że Tajwan jest nieodłączną częścią chińskiego terytorium. W praktyce będzie to oznaczać zerwanie przez Japonię stosunków dyplomatycznych z władzami czangkaiskimi. Pewnym ekwiwalentem za te niezmiennie ważne decyzje jest ze strony chińskiej zrezygnowanie z japońskich odszkodowań wojennych.

Z ogłoszonej deklaracji wynika, że przedmiotem pekińskich rozmów były wyłącznie stosunki dwustronne, nie znajdujemy bowiem ani wzmianki o problemach międzynarodowych.

W niedalekim czasie należy także oczekiwać znormalizowania stosunków między Japonią i ZSRR. Mówił o tym min. Gromyko na sesji ONZ. Oświadczył on, że zbliżają się rokowania w sprawie traktatu z Japonią, który powinien odegrać dużą rolę w zakończeniu stanu wojny w Azji i stworzeniu podstaw trwałego pokoju oraz współpracy na tym kontynencie. — Związek Radziecki — zapewnił minister — doloży wszelkich starań, aby rokowania te zakończyły się pomyślnie.

Ułożenie normalnych stosunków z Japonią ma kapitalne znaczenie dla pokoju na świecie. Jeśli osiągnięte już porozumienie chińsko-japońskie będzie realizowane zgodnie z oczekiwaniami narodów — powinno ono zmniejszyć napięcie w Azji i zapoczątkować pokojową współpracę państw na Dalekim Wschodzie. Jego najlepszą ocenę przyniesie więc polityczna praktyka.

W. ŚLAWSKI

VI Plenum Komitetu Centralnego Partii podjęło decyzję o zasadniczym znaczeniu, idące w kierunku dalszego unowocześniania naszego systemu władzy i administracji, umacniania demokracji socjalistycznej i stwarzania warunków dla przyspieszenia rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Z dniem 1 stycznia 1973 roku dotychczasowe gromadzkie rady narodowe zostaną zastąpione radami gminnymi.

Czy jest to tylko zmiana nazewnictwa? Powrót do poprzednio istniejącej struktury władzy najniższego szczebla? Jakie efekty przyniesie reforma mieszkańcom wsi? Takich pytań nasuwa się wiele. Nie na wszystkie można od razu odpowiedzieć, gdyż działalność nowych gminnych rad najlepiej zweryfikuje samo życie. Jedno jest pewne: dotychczasowa, niezmienna od dziesiątków lat struktura administracji przeżyła się i w warunkach intensywnego gospodarowania nie mogła spełniać już swojej roli. Zgodnie z Uchwałami VI Zjazdu Partii ostatnie Plenum KC urzeczywistniło pierwszy z etapów reformy administracji.

Nie sposób w krótkim komentarzu omówić wszystkie aspekty tak ważnej i dość złożonej reformy. Na kilka jednak chciałbym zwrócić szczególną uwagę. Słabość poprzednich rad wynikała z faktu, że były to organizmy niewielkie i pozbawione kompetencji. Powstały w imię słusznego hasła — „władza bliżej mas”. Władza rzeczywiście była blisko wsi (nie raz dwie trzy rachityczne wioski stanowiły gromadę) ale była to władza pozorna, bo i tak ze wszystkim trzeba było jeździć do powiatu. Te dwie słabości poprzednich rad likwidują uchwały VI Plenum KC, za-

lecając utworzenie 2.381 gromad na miejsce 4.313. (n. b. w 1954 r. było 8.790 gromad).

Oczywiście nie tylko o to chodzi, chociaż to istotna sprawa. Reforma ma aspekt szerszy, powiedziałbym, nie tylko organizacyjny, ale również społeczny. Potrzebne są nam gminy tworzące mikroregiony, dostatecznie duże i silnie ekonomicznie, posiadające uprawnienia dotychczas zarezerwowane dla władz powiatowych, co w konsekwencji pozwoli na załatwianie w gminie, na miejscu, prawie wszystkich spraw mieszkańców wsi, osady czy małego miasteczka.

Istotą jednak reformy jest



oddzielenie władzy ustawodawczej od wykonawczej. Właśnie na tym najniższym szczeblu. W nowym układzie Gminna Rada Narodowa stanie się autorytatywnym organem władzy ludowej sprawującym funkcje programowo-inspirujące i kontrolne w stosunku do tworzącego nową jakość urzędu gminnego, który stanie się pełnoprawnym organem państwowym pierwszej instancji. GRN będzie funkcjonować na następujących zasadach. Na jej czele stanie prezydium

i przewodniczący, działający społecznie. W skład prezydium wejdą: przewodniczący rady, jego zastępca i przewodniczący stałych komisji rady. W każdej radzie będą działać przynajmniej cztery komisje: 1) do spraw rolnych, 2) zaopatrzenia ludności, planowania, budownictwa, 3) spraw społecznych i oświatowo-kulturalnych, 4) do spraw porządku publicznego. Programem działania rady będzie plan gminy pomyślany nie jako katalog potrzeb, jak bywało dotychczas, lecz jako dokument mobilizujący i obowiązujący administrację gminy, jak również wszystkie instytucje działające na terenie

władzy wykonawczej gminy. Naczelnik stanie się centralną postacią administracji terenowej. Mianowany przez przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej na wniosek rad terenowych, będzie ponosił dwojaką odpowiedzialność: wobec nadrzędnych władz państwowych oraz wobec gminnej rady narodowej, która będzie sprawować kontrolę nad działalnością urzędu.

W zmienionej sytuacji znacznie wzrosnie również rola sołtysów, którzy będą niejako przedłużeniem gminnej rady i urzędu do poszczególnych wsi.

Należy podkreślić, że wzrosną również uprawnienia gminnej rady w zakresie koordynacji i kontroli nad instytucjami i organizacjami działającymi na terenie GRN. Do tej pory działalność POM, GS, SOP itd. nie była zharmonizowana z administracyjnym podziałem wsi. Utrudniało to współpracę z GRN.

Tak więc obecnie w gminie decydować się będzie o wzroście plonów i wydajności, modernizacji produkcji rolniczej i hodowli, doskonaleniu obrotu rolnego, usług na rzecz wsi. W gminie rozstrzygać się będzie o sprawach budownictwa, gospodarki komunalnej, zaopatrzenia, szkolnictwa i kultury. Tutaj będzie praktyczny sprawdzian współdziałania władzy i obywateli.

Sama reforma oczywiście niczego nie rozwiązuje, stwarza tylko warunki. Decydować będą ludzie, radni i aktywni kadry urzędów gminnych, a przede wszystkim naczelnicy. Równie ważną sprawą będzie dostosowanie w niedalekiej przyszłości systemu pracy rad powiatowych i wojewódzkich — do nowej struktury administracji terenowej.

J. ŻAK

KAMPANIA WYBORCZA W PARTII. W październiku rozpoczyna się w organizacjach partyjnych zebrań sprawozdawczo-wyborczych, na których oceni się dotychczasową pracę organizacji partyjnych, przedsięwzięcia czy instytucji oraz wybierze się nowe władze.

Kampania sprawozdawczo-wyborcza w partii pozwoli organizacjom partyjnym ocenić dotychczasową realizację uchwały VI Zjazdu PZPR, a także realizację uchwał łódzkiej instancji oraz uchwał własnych. W toku dyskusji na zebraniach partyjnych oceni się przyczyny występujących jeszcze braków i niedociągnięć w działalności wielu przedsiębiorstw, a następnie opracuje się programy dalszego działania.

WYDAJNOŚĆ PRACY W PRZEDSIĘBIORSTWACH. Egzekutywa KW PZPR w Łodzi zapoznana się z analizą wzrostu wydajności pracy dokonaną w 16 wybranych, dużych zakładach pracy województwa łódzkiego. Z wyników tej analizy można dowiedzieć się, że nadal wzrost wydajności pracy ogranicza w wielu przypadkach niedostatek surowców, części zamiennych, a co za tym idzie niepełne wykorzystanie czasu pracy maszyn i pracowników. Stwierdzono również, że w niewłaściwy sposób organizuje się niekiedy remonty maszyn, że nadal niesprawnie działa kooperacja.

Systematyczne usuwanie tych i innych przyczyn — stwierdziła Egzekutywa KW PZPR w Łodzi — powinno doprowadzić do dalszego wzrostu wydajności pracy. Przedsiębiorstwa województwa łódzkiego mają bowiem wiele możliwości dalszego przekraczania planów produkcyjnych, a kryją się one przede wszystkim w niedoskonałej organizacji pracy. Egzekutywa KW PZPR przypomniała również w swoim postanowieniu, że nadal obowiązuje zasada, iż wzrost wydajności pracy powinien wyprzedzać wzrost średnich zarobków. Poza tym zaleciła, aby po upływie trzech kwartałów dokonać ponownej oceny wzrostu wydaj-

ności pracy w 16 analizowanych przedsiębiorstwach.

ŁÓDZKIE „ŚWIATOWIDY”. W Łodzi odbył się kolejny przegląd filmów dydaktycznych i naukowych. Po przeglądzie rozdzielono nagrody: złote, srebrne i brązowe „Światowidy”. Wśród nagrodzonych znaleźli się też pracownicy WYTWÓRNI FILMÓW OŚWIATOWYCH w Łodzi: W. Drymer i Z. Adamski („Noe Listopadowa”), J. Czeż („W Tatrzańskim Parku Narodowym”), J. Arkusz i W. Powada („Plugofrezarka”), „Budowa pieca stalowniczego Tandem”), W. Powada („Grzybice skóry bydła”), K. Marczak („Komórki świata roślin”), W. Fidek („Luminescencja”), J. Jaskólska i A. Walter („Białko”).

Łódzki przegląd filmów dydaktycznych i naukowych, mimo swojej niewątpliwie roli inspiratorskiej, budził jednak wiele kontrowersji. Wynika to

z różnego rodzaju „tygodnia kultury na jeźdni i chodniku”, bo uważają, że kultura powinna obowiązywać codziennie i to przez cały rok. Uważają podobnie, że i oszczędzać trzeba też stale, a nie tylko koniecznie w październiku. Ja rozumiem intencje organizatorów. Im chodzi przede wszystkim, aby w jednym, wybranym okresie szczególnie zwrócić uwagę na dany problem. W październiku — na oszczędzanie. Po prostu jest to okres, w którym mamy okazję sprawdzić, czy oszczędzanie stało się już cechą narodową.

Myślę, że na optymizm jeszcze zbyt wcześnie, choć — jak twierdzą w PKO — w Łodzi i województwie z każdego 100 zł, odkłada się w PKO 4,40 zł. To już jest coś. Uzbierało się z tego 8,5 milarda zł oszczędności. Tylko w tym roku założono 56 345 nowych książeczek

maszyny matematyczne. Po EZPB im. Obrońców Pokoju — „Uniotex”, z pomocy komputerów korzystał będzie budowana przedziałnia czesankowa „POLANIL”. Z „EKORNO” — Centrum Obliczeniowym PL współpracuje ściśle Zjednoczenie Przemysłu Węglanego — „Pólnoc”.

Komputery — jak się obecnie przewiduje — będą pomagały planować zaopatrzenie w surowce i części zamienne, a także planować remonty maszyn.

EKS PO KRZYŻYSIE. Ostatnie kilka meczy nie przyniosło sukcesów drużynie piłkarskiej EKS. Dopiero zwycięstwo nad walczyńskim „Zagłębiem” sprawiło przyjemność kibicom EKS. Wydaje się, że drużyna piłkarska EKS, po krótkim kryzysie znów powraca do dobrej formy. Oby już na stałe.

Pewne obawy budzą ostatnie porażki drugoligowego „Widzewa”. Sądzą jednak, że drużyna ta po doskonałym starcie w drugiej lidze, utrzyma się do końca sezonu w środkowej grupie tabeli. Czego jej z całego serca życzą.

DOMKI Z GORZKOWIC. Zakład Produkcji Elementów Budowlanych w Gorzkowie koło Piotrkowa Trybunalskiego rozpoczął produkcję elementów budowlanych dla domków jednorodzinnych. Produkcją tą zainteresował się Zarząd Inwestycji Miejskich w Łodzi. Postanowiono wprowadzić kilka takich domków dla „Elty”, której załoga wystąpiła z inicjatywą budowy domków jednorodzinnych.

GRANATY I MANGO. Przywykliśmy już do tego, że cytryny są stale w sklepach. Nie brakuje nawet soku pomarańczowego, a czasem pojawi się sok ananasowy czy z owoców mango. Swego czasu można było kupić ananasy. Trzeba było jednak trafić na ich transport do delikatesów i postać trochę w kolejce. Teraz — jak doniósł „Głos Robotniczy” — sklepy dostaną granaty i owoce mango. Te ostatnie są u nas mało znane, a prof. Szczepan Pleniążek twierdzi, że są to najmocniejsze owoce świata.

M. RODAK



być może z braku jednolitej formuły dla tego przeglądu, jak i z tego, że wszelkie inne monotematyczne lub jednolite formalne festiwale filmowe zostały już „zarezerwowane” przez inne ośrodki. Wątpliwości te nie powinny jednak doprowadzić do tak modnej obecnie tendencji wzywania do likwidacji wszelkich festiwali, a raczej do opracowania jednolitej formuły łódzkiego przeglądu.

MIESIĄC OSZCZĘDZANIA. Październik jest już tradycyjnie miesiącem oszczędzania. Wprawdzie ludzi denerwuje trochę organizowanie

w Łodzi i 65 362 książeczek w województwie łódzkim. Również tylko w tym roku wypłacono 142 mln zł odsetek, 5,5 mln zł premii, a oszczędzający na książeczkę samochodowe otrzymali 530 samochodów. Ale w PKO leży jeszcze 100 mln zł odsetek, po które nie kwapią się oszczędzający w Łodzi i województwie.

Przypominanie o tym, że powinniśmy być oszczędni — jak się okazuje — jest potrzebne.

KOMPUTERY W MPL. Przemysł lekki stara się coraz intensywniej wprowadzać

Prezentacje



Ryszard Sobolewski

W najbliższych planach repertuarowych Teatru Powszechnego znajdują się między innymi sztuki Szekspira, Calderona, Leonowa, Williamsa, Abramowa i Jareckiego. Najbliższą będzie premiera „Zamieci” Leonida Leonowa i „Kotki na rozpalonym, gorącym dachu” — Tennessee Williamsa.

— Czy te plany mieszczą się w dotychczasowym profilu Teatru Powszechnego? — z pytaniem tym zwróciłam się do dyrektora teatru, **RYSZARDA SOBOLEWSKIEGO**.

— Nie chcemy zmieniać tego profilu, tym bardziej, że mimo różnych dotychczasowych chwilek repertuaru, stał się charakter naszego teatru. W dalszym ciągu zamierzamy być teatrem powszechnym, czyli teatrem dla każdego. Stąd, powiedziałbym, szlachetny eklektyzm w doborze repertuaru. I to także dla widza najmłodszego.

— Myśli Pan o bajkach?

— O doskonałych bajkach. Zamierzamy, na przykład, w obecnym sezonie pokazać dzieciom „Słoneczny kraj” Stopczyka, ze scenografią Szymona Kobylńskiego. Takie spektakle traktuję bardzo poważnie. Po prostu dlatego, że widza teatralnego trzeba wychowywać od dziecka. Teatr lalki, działając na wyobraźnię maluchów budzi w nich, jeżeli nie potrzebę, to ciekawość teatru. Ale dziecko wyrasta i kontakt z teatrem się urywa. Odnawia się dopiero na szkolnych przedstawieniach abonamentowych, a tu bym dyskutował, czy jest to kontakt naturalny, czy wymuszony.

— Potrzeba więc teatru dla młodego widza?

— Oczywiście. U nas w ogóle takiego teatru nie ma. Proszę sobie przypomnieć wszystkie dyskusje na temat widza teatralnego. Przecież my ciągle zapominamy, że

bakcył teatru zaszczerpiemy bajkami u najmłodszego odbiorcy, ginie na długi czas, często nawet na zawsze. Dlatego chcemy w przyszłości przygotować nasz teatr również dla potrzeb widza nastoletniego, zapraszając go na premiery młodzieżowe, połączone z prelekcją i dyskusją.

— Dlaczego dopiero w przyszłości?

— W tej chwili nie ma dobrego repertuaru dla młodzieży. Adaptacje nawet najlepszych utworów literatury młodzieżowej nie zastąpią dobrej współczesnej sztuki. Takiej, jaką mają na przykład teatry w innych krajach socjalistycznych. Chcemy sięgnąć po tę sztukę, ale będzie to możliwe nie wcześniej, jak w przyszłym sezonie.

— A co teraz?

— Z początkiem października otwieramy poradnię teatralną dla nauczycieli. Pragniemy nawiązać kontakt ze szkołami średnimi, z nauczycielami i uczniami, którzy interesują się teatrem, uczestniczą w kółkach recytatorskich. Pragniemy dać im wszelką możliwą pomoc. A także odwiedzać szkoły i popularyzować tam sztukę teatralną, żeby wzbudzić u młodzieży potrzebę kontaktu z teatrem i to na innej zasadzie, niż gromadne chodzenie do teatru z nakazu nauczyciela. Młodzi często chcą się wcześniej czuć dorosłymi. I teatr, który jest przecież domeną ludzi dorosłych, może im w tym pomóc.

— W ten sposób Teatr Powszechny przygotowałby widzów na studenckie premiery Teatru im. S. Jaracza.

— Tak bym to widział.

— Jak wobec tego określiłby Pan miejsce Teatru Powszechnego wśród innych teatrów Łodzi?

— Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że bierzemy na siebie ciężar przygotowania widza dla innych łódzkich teatrów. Dlatego świadomie rezygnujemy w naszych spektaklach z eksperymentów. Dlatego też chcemy w naszym teatrze na pierwszy plan wysunąć aktora. Byłby więc to teatr rzetelnego aktorstwa i dobrego, konsekwentnego w swoich założeniach repertuaru.

— Jest Pan aktorem, reżyserem, dyrektorem teatru. Jak Pan to wszystko godzi?

— To jest dosyć trudne i dlatego muszę czasem z pewnych rzeczy zrezygnować. Ale, moim zdaniem, reżyser powinien umieć grać. Tego zresztą nauczono mnie w szkole.

— Gdzie Pan kończył studia?

— Zaczęłam je na Wydziale Aktorskim PWST w Warszawie. Po pierwszym roku otrzymałam stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki i wyjechałam do Kijowa, na studia reżyserskie. I tam jednocześnie musiałem przejść czteroletni kurs sztuki aktorskiej.

— Powrócił Pan...

— ... do teatru w Poznaniu. Był to rok 1955. W Poznaniu pracowałam jako aktor i reżyser teatralny. Jednocześnie zająłem się reżyserią w poznańskiej rozgłośni Polskiego Radia. W 1959 roku przenieśliśmy się do Łodzi i zaczęłam pracować w Teatrze Powszechnym. Dwukrotnie tylko opuszczałam Łódź, aby przez dwa sezony pracować w Szczecinie i przez jeden w Katowicach w Teatrze Śląskim.

— Co Pan najbardziej ceni w swoim dotychczasowym dorobku reżyserskim?

— Chyba jednak „Ostry dyżur” Lutowskiego, który reżyserowałam dwukrotnie: raz w Poznaniu i drugi raz — w Teatrze Ziemi Łódzkiej, a także „Kordiana” reżyserowanego w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, za który to zresztą spektakl teatr ten otrzymał nagrodę na jednym z Festiwalu Teatrów Ziemi Północnych. A skoro już mówimy o moim dorobku reżyserskim, to muszę pani powiedzieć, że mam na swoim koncie także jedno widowisko lalkowe w poznańskim Teatrze Satyry. Byłem też reżyserem „Cyrułki Sewilskiego” w Teatrze Wielkim w Łodzi. Jednak najwięcej zadowolenia daje mi praca w teatrze dramatycznym, gdzie można posłużyć się przecież muzyką, projekcją filmową i maską.

— Czy jako reżyser woli Pan repertuar klasyczny, czy też współczesny?

— Zdecydowanie — współczesny. W mojej pracy reżyserskiej — a reżyserowałam już przeszło 30 sztuk — zajmowałam się przede wszystkim repertuarem współczesnym: polskim i obcym.

— Powszechnie narzeka się na niedostatek polskiego repertuaru współczesnego. Pan, jako reżyser i dyrektor teatru ma chyba na ten temat sporo uwag.

— Tak. Był kiedyś taki dobry zwyczaj pisania dla wybranego teatru. Autor wiązał się z jednym teatrem i pi-

sał dla niego, współpracując potem z reżyserem przy wystawianiu sztuki. Dziś teatr czeka na to, co przyniesie bieżąca „produkcja” literacka i wybiera z tego to, co mu ewentualnie odpowiada. Nie ma właściwie kontaktu z pisarzem, nie ma miejsca na laboratoryjną pracę z autorem, a niedobrze jest, jeśli ocena pracy dramaturga zostaje tylko w teatrze. W tej sytuacji pisarze najczęściej proponują teatrom adaptacje.

— Czy nie spróbowałby Pan nawiązać kontakt z dramaturgami?

— Zamierzamy właśnie zwracać się z poszczególnymi autorami i namówić ich do ścisłej współpracy z naszym teatrem.

— A współczesny repertuar krajów socjalistycznych?

— O tym myślimy także. I to już bardzo konkretnie. Dążymy do współpracy z teatrami radzieckimi, odnawiamy bliskie kiedyś kontakty z teatrem rumuńskim i czeskim. Szeroka współpraca — wymiana reżyserów, scenografów i całych zespołów, a także penetracja twórczości dramatycznej naszych przyjaciół, pozwoli zetknąć się nie tylko z nową stylistyką, z innymi formami pracy, ale jednocześnie wyprowadza teatr z zaściankowości. Chcemy jednak, aby była to współpraca nie tylko od święta, ale systematyczna i konsekwentna, taka, która przynosiłaby korzyści obu stronom.

— Jako dyrektor teatru jest Pan również działaczem kulturalnym, kierującym się w tej dziedzinie określoną polityką. Jakie miejsce według Pana zajmuje teatr w dzisiejszej rzeczywistości?

— W naszym rozbieganym i nerwowym świecie teatr powinien być miejscem, gdzie człowiek mógłby spotkać się sam na sam z nurtującymi go problemami, na które teatr proponuje mu swoją odpowiedź. Miejscem, w którym mógłby doznać autentycznego wzruszenia. W dyskusji: teatr wielkich inscenizacji, czy teatr nastroju — opowiadam się zdecydowanie za tym drugim. Przy dzisiejszych tendencjach do serwowania widzom wielkich widowisk sportowych, rozrywkowych czy różnego rodzaju festynów, pokazywanych także przez telewizję, teatr powinien być miejscem kameralnego dialogu między widzami i aktorem, powinien być intymną intelektualną przygodą.

W swoim pytaniu użyła pani terminu — polityka kulturalna. Muszę się przyznać, że nie lubię tego określenia.

— Dlaczego?

— Po prostu dlatego, że zbyt często dyskutujemy na ten temat, a zbyt mało się robi, żeby ta polityka była przez wszystkich właściwie realizowana. Dla mnie najistotniejszą sprawą jest skoordynowanie wszelkiej działalności kulturalnej. Dlaczego np. w teatrze nie można organizować stałych wystaw plastycznych? Dlaczego „Estrada” nie mogłaby zająć się małą formą teatralną? Takich pytań można zadać więcej. Póki jednak nie dojdzie do koordynacji z prawdziwego zdarzenia, póty będziemy więcej dyskutować niż robić.

— Powiedział Pan między innymi, że telewizja dostarcza widzom wielkich widowisk. Ale przedstawia również milionom odbiorców dobre spektakle teatralne. Czy to teatrom pomaga, czy przeszkadza?

— Dawne obawy, że telewizja odbierze nam widza obalila statystyka. Twierdzić nawet, że w tej chwili nastąpił już przesył telewizyjny, która zresztą dla wyrobionego kulturalnie odbiorcy nigdy nie była jedynym kontaktem ze sztuką. Natomiast poważną komplikacją dla teatrów jest fakt, że teatr telewizji zbyt szybko wyczerpuje zasoby repertuaru. I to niewątpliwie utrudnia nam pracę.

— Czy sądzi Pan, że wzrost zainteresowania teatrem dotyczy również łódzkiej publiczności, o której gustach często słyszy się nie najlepsze opinie?

— Moim zdaniem publiczność łódzka jest często zdezorientowana brakiem konsekwencji w tym, co jej teatry proponują. Z jednej strony teatry wystawiają sztuki ambitne, ale trudne, z drugiej — czasem idą na łatwiznę. Oczywiście można by sporo powiedzieć na temat przyczyn tego stanu rzeczy, ale to zajęłoby zbyt wiele miejsca. Niezależnie jednak od tych przyczyn teatr powinien dążyć do konsekwentnego realizowania raz obranej linii repertuarowej. Przykład teatru Skuszanki w Nowej Hucie mówi sam za siebie.

Teatr powinien znać swoją publiczność, ale póki będziemy jednak zdani na przypadkowego widza, któremu rada zakładowa podsuwa bilet nie informując nawet jaką mu sztukę funduje, póty będziemy niespokojni o przyszłość bliskiej więzi teatru i jego widza.

Rozmawiała: **BOGDA MADEJ**



„NOWE” ODGŁOSY

Po niedawnej zmianie redaktora naczelnego należało się spodziewać zmian i w czasopiśmie. No i zmienił się wygląd zewnętrzny i układ artykułów. Według mnie, niestety, nie na lepsze. „Odgłosy” upodobniły się do „Kultury” i straciły swój zewnętrzny, oryginalny charakter.

Bardziej odpowiadały mi również stare tytuły niektórych działów, np. „Kto, co, kiedy”

relacje, niedyskrecje” niż tytuł „Kultura na świecie”, wydrukowany okropnymi „żałobnymi” czcionkami, gdyż dział ma charakter raczej lekki i nie wszystkie pozycje dotyczą akurat kultury. Bardziej odpowiedni do treści pozycji był również napis „Ze świata” na nie symbolicznej mapy, niż obecne „Ze świata” w nekrologicznej ramce.

Ciekawa jestem, dlaczego zniknął błazen w czapeczce przy felietonach Cwieka. Sam ten ry-

sunek oddawał bezbłędnie charakter tych świetnych felietonów.

Swoją zewnętrzny, oryginalny charakter stracił również dział „Od niedzieli do niedzieli”. Mocno akcentowane pozłome kreski przypominają mi szufladki. Czy „Odgłosy” muszą mieć, tak jak w „Kulturze”, felietony umieszczone w takim samym układzie i również na ostatniej stronie? Ciekawa też jestem, dlaczego „Tele-objektywy” redaguje nowy recenzent, który nie wie na razie, w jakim stylu pisać, szkoda, że nie stać go na swój własny. Jedną z najciekawszych pozycji czasopisma stała się przez to okropnie nudna. Czemu nie ma poza tym zdjęcia na pierwszej stronie i rubryki „W numerze”?

Jedyną oryginalną zmianą w czasopiśmie jest rubryka „W pobliżu”, ładnie rozwiązana graficznie. Niestety, druga: „Z kraju” znacząco swój skopiowała częściowo z jednego z magazynów publicystycznych TV. Jedno mniej tylko cieszy, że moda „zmian na lepsze” dotyczy w „Odgłosach” wyglądu zewnętrznego, a nie treści. Nie byłoby bowiem gorzej rzeczy, niż upodobnienie się treściowe pisma do okropnej, choć warszawskiej, a nie „prowincjonalnej” „Kultury”.

ZDZISŁAWA MATUSIAK SOKOLNIKI

OD REDAKCJI: Z dużym zainteresowaniem i uwagą przeczytaliśmy list Zdzisławy Matusiak. Podziwialiśmy rzeczowość formalnej analizy zewnę-

trznego wyglądu „Ogłosów”. Ale nie zgodzilibyśmy się z zarzutem podobieństwa do „Kultury”. Felietony na ostatniej stronie drukuje wiele pism. Jednakże zdajemy sobie sprawę, że ten sam fakt można różnie interpretować. Np. zawsze nam się zdawało, że felietony Cwieka ozdabia głowa sowy, a tu nagle do wiadujemy się, że był to „błazen w czapeczce”.

Chcielibyśmy przypomnieć, że o gustach trudno jest dyskutować, a każdy zespół — niezależnie od zmian wewnętrznych — ma prawo, a czasem nawet obowiązek szukać nowych rozwiązań. Sądźmy, że za wszelką cenę nie jesteśmy do rozwiązania o ich wyniku. Ale prosimy o listy. Czekamy.

Do sprawy zmian w piśmie, w jego treści i formie, będziemy mieli jeszcze okazję powrócić.

JESTEM Z WAMI!

W ostatnim numerze „Ogłosów” ze zdumieniem przeczytaliśmy list pani Zofii Dwornik, która atakuje Was za „nekrologową” szatę graficzną. Ja bym na Waszym miejscu takiego listu nie drukował, zwłaszcza, że autorka absolutnie nie ma racji, ale widocznie „Odgłosy” chciały udowodnić, że są z przekonaniem demokratyczne i dopuszczają do głosu nawet poglądy dla redakcji nie najbardziej przychylne.

Z doświadczenia wiem, że u nas, w Łodzi, chwali się najczęściej to, co warszawskie. Otóż chciałbym, aby zarówno Pani Dwornik, jak też Szanowna Redakcja wzięły sobie do ręki ostatni numer „Literatury”. Okazuje się, że warszawski tygodnik wzięł przykład z „Ogłosów” i ten zmienił szatę graficzną. A muszę przyznać, że „Literatura” o wiele odważniej gospodaruje czernią niż „Odgłosy”.

Kończąc już, pragnę zauważyć, że przywykłem do tej nowej szaty Waszego tygodnika. „Odgłosy” stały się jakby żywsze i bogatsze. Jestem za Wami, Panowie!

inż. **JÓZEF NOWALINSKI**
Łódź

SKĄD TEN GAZ?

Ja do Ciebie, Szanowna Redakcjo, skoro mi się już wzięło na pisanie. I to z pewną do was, panowie, pretensją. Czemuż to Szanowna Redakcja nie zauważyła do tej pory, że Łódź przeszła na gaz ziemny? Myśmy to zauważyli u siebie w domach, kiedy nam garniki zaczęły zachodzić sadzą. Panowie monterzy uprzedzali, że ten nowy gaz jest lepszy, bo

daje więcej ciepła, tymczasem on bardziej kopci. Poza tym podobno wymaga specjalnie przystosowanych kuchenek. U mnie monterzy byli, ale nie nie zrobili, pytałem się znajomych, u nich jest tak samo. Podobno sprawa wymiany kuchenek na inne należy do administracji. A jakże, dzwoniłem, jako że nogi mam już stare i chodź mi trudno. Jakas miła pani najpierw mnie wykrzyżowała, a później powiedziała, że trzeba przyjąć z podaniem, to wymienia. Więc cóż było robić, poszedłem. Tam mi powiedzieli, że podanie jest niepotrzebne, ale ADM da zlecenie, a wtedy zbierze się specjalna komisja, czy kuchenkę wymienić. Zgodziłem się, bo cóż robić, skoro taka ich wola. I teraz czekam na komisję. Chciałem pojechać do Krakowa, do córki, w odwiedziny, ale muszę czekać na tę komisję, bo to dla mnie ważna sprawa. Przyjda, albo i nie, kto ich wie.

Jak więc widzicie, panowie, łatwiej jest zmienić wygląd waszego tygodnika, niż stare praktyki administracji.

Kreślię
KAZIMIERZ PTASZEK

SZANSA MŁODYCH

„Twórczy udział młodzieży w budownictwie socjalistycznym — stwierdza Uchwała VI Zjazdu PZPR — zależy od opanowania przez nią umiejętności zawodowych, od poczucia współodpowiedzialności za dzień dzisiejszy i przyszłość narodu, od efektywnej pracy i realizacji w codziennym życiu humanistycznych ideałów socjalizmu”.

A więc zależy od niej samej. Ale również i od tego, jak będzie przygotowana do życia, jaki osiągnie poziom polityczny, moralny i zawodowy. Także od tego, jakie postawi się przed nią cele, jakie rozbudzi się ambicje.

„Zapewnić należy — czytamy dalej w Uchwale VI Zjazdu PZPR — tworzącym inicjatywom młodzieży możliwości ich realizacji, śmiało wysuwać uzdolnionych, wartościowych ludzi

młodego pokolenia na odpowiedzialne stanowiska w gospodarce, życiu społecznym i politycznym”.

Szansa młodych zależy więc i od warunków, w jakich będą oni mogli realizować swoje zamierzenia, plany i osiągać cele. Zamierzamy zatem w cyklu naszych publikacji o młodym pokoleniu pokazać również warunki, w jakich młodzi uczestniczą w społecznym wysiłku budowania drugiej Polski. Będziemy pokazywać to wszystko, co sprzyja rozwojowi młodego pokolenia, utrwała jego udział w ogólnonarodowym wysiłku, jak i to, co w tym jeszcze przeszkadza. Spodziewamy się, że w sprawie tej głos zabiorą też sami młodzi.

Dziś publikujemy dwie wypowiedzi na temat szansy młodego pokolenia.

Dla młodych — niełatwe zadanie



O młodych mówiło się u nas właściwie zawsze: słownie i poważnie, wychowawczo i destrukcyjnie, sympatycznie i z sarkazmem, uroczyście i bez powagi, doraźnie i przyszłościowo. Ale w tych wypowiedziach przeważała tonacja przyszłościowa. Tymczasem warto zastanowić się: jaki też jest młody Polak z roku 1972? Jakże ma życiowe szanse, właśnie teraz, już dziś, a nie w wieku XXI? Kapitałny to problem, bo dotyczy blisko połowy obywateli państwa. Jesteśmy przecież społeczeństwem stosunkowo młodym na tle całej Europy i nie nie wskazuje na to, aby te stosunki demograficzne w

kraju miały się raptownie odmienić.

Zmienił się już charakter dialogu z młodymi, czego dowodem jest choćby Złot Młodych. Przedowników Pracy i Nauki, którego uczestników gościliśmy w lipcu tego roku w Łodzi. Edward Gierek powiedział wtedy:

„Nie ma w naszym społeczeństwie barier, które dzieliłyby pokolenia w stosunku do spraw kraju i w ich gotowości do pracy dla dobra Ojczyzny. Mamy wszystkie warunki, aby w pracy dla Polski połączyć umiejętności, doświadczenie i mądrość życiową starszych, z zapałem, energią i siłą młodych”.

Po prawdzie tych barier nie było nigdy, a już z całą pewnością w socjalistycznej Polsce. Nowy ustrój stworzył szeroką perspektywę dla każdego, a więc dla wszystkich generacji. Są to sprawy bezsporne i dlatego nie wymagające komentarza. Ale na sprawy młodych patrzono często w kategoriach ilościowych, a przy tym owa szeroka perspektywa domagała się konkretyzacji. Bowiem perspektywa nie jest przecież działaniem na zwłokę, odkładaniem w przyszłość tego, co wymaga rozwiązania już teraz. I co może być rozwiązane wspólnym wysiłkiem wszystkich bez wyjątku. Tym bardziej, że jedną z cech młodości jest niecierpliwość, która na łódzkim Zlocie doczekała się pochwały i zachęty. Powiedziano tam przecież:

„Bądźcie niecierpliwi, nie poprzestajcie na tym, co osiągnęliśmy dotąd, nieustannie pragnijcie więcej i lepiej. Pamiętajcie jednak zawsze, że to: więcej i lepiej — sami i tylko sami możemy sobie zapewnić. Wyższymi kwalifikacjami. Większym wysiłkiem. Większą wytrwałością. Większą dyscypliną. Większą aktywnością i inicjatywą. Pracując dla Polski — pracujemy dla siebie. Uczynmy z takiej pracy — dobrej, rzetelnej, obowiązkowej — sprawę zarówno rozumu, jak i honoru, naczelną patriotyczną powinność”.

W świecie uważani byliśmy zawsze za ludzi honorowych. Dwa słowa: Honor i Ojczyzna — powtarzane są u nas od wieków i kojarzą się z tym, co polskie. Ale też honor ten był często kosztownym gestem, bo nawet ambicje wymagają o-

prawy, a ściślej programu kojarzącego teraźniejszość z przyszłością, doraźność z wymogami dnia jutrzejszego. Nie żyjemy przecież w izolacji. Istniejemy pośród ogromnej rodziny narodów, które też posiadają ambicje, i które też się rozwijają, które patrzą na nas nie tylko przez przysłowiowy polski honor, a przez nasze rezultaty, poprzez naszą pracę. I właśnie te rezultaty, które mogą nam zapewnić w świecie szacunek i uznanie, uczynić powinniśmy sprawą narodowego honoru.

Jest to zadanie, dotyczące wszystkich bez wyjątku, a młodych szczególnie. Choćby dlatego, że są niecierpliwi. A także dlatego, że wchodzą w życie bez obciążeń, których historia nie oszczędziła pokoleniom, które były przed nimi. Ale kiedy mówimy, że młodzi wchodzą w życie bez obciążeń, nie oznacza wcale, że nie piętrzą się przed nimi trudności. Tych historia nie oszczędziła ani jednej generacji. Tym bardziej, że zadania, jakie stoją przed nimi, są doprawdy niełatwe. Trzeba przecież w ciągu najbliższych lat dwudziestu zbudować drugą Polskę. Trzeba też, aby ta Polska mogła zaimponować innym krajom swoim dorobkiem i swoim rozwojem.

Szansa młodych? Już sama młodość jest ogromną szansą, ale właśnie dlatego trzeba ją spożytkować szczególnie rozumnie. Na podnoszenie kwalifikacji. Na pracę aktywną, w której liczą się nie tylko ręce, ale także myślenie, inicjatywa, pomysłowość.

JERZY DARNAL

Czy tylko niecierpliwość?

Zawsze byłem przeciwny dzieleniu społeczeństwa na młodych i starych, choć przyznając, że nie można ignorować faktu, że wśród Polaków z 1972 roku przeważają młodzi. Zmusza to do zastanowienia, bo przecież młodzi, którzy przekroczyli 20 rok życia i pracują lub się uczą, już za kilka czy kilkanaście lat obejmą coraz to poważniejsze i bardziej odpowiedzialne stanowiska. Zgodnie zresztą z tym, co zaleca Uchwała VI Zjazdu PZPR, aby „śmiało wysuwać uzdolnionych ludzi młodego pokolenia na odpowiedzialne stanowiska”. Czy dobrze przygotowaliśmy ich do tej roli?

Ilekrót słyszę narzekania na „dzisiejszą młodzież”, tyle razy myślę, że bierze się to nie stąd, że dorosli szybko zapomnieli, jacy sami byli, gdy mieli 20 i więcej lat, ile stąd, że niepokoją się o przyszłość kraju rządzonego przez następców, do których nie mają zaufania. Czy niepokój to uzasadniony? I zastanawiam się wtedy, kogo my nazywamy młodym, kto naprawdę jest młody?

Każdy z nas zna zapewne ludzi, którzy liczą sobie nie tak znów wiele lat, a którzy są młodymi tylko z daty urodzenia. I znamy takich, którzy choć lat mają wiele, trudno ich nazwać

starymi. Mówimy wtedy — młodzi duchem. Spotkałem się niedawno z poglądem, że młodym jest ten, kto, bez względu na wiek, potrafi się jeszcze uczyć, kto nie uważa, że posiadał już wszystkie rozumy i mądrości. A więc nie data urodzenia określa stosunek człowieka do otaczającego go świata, ale jego postawa. Ona decyduje o tym, czy jego stosunek do świata jest twórczy, pełen niepokoju, czy też pasywny.

Mówimy: młodzi są niecierpliwi. Niecierpliwość jest cechą młodości. To prawda, ale niecierpliwość ta powinna służyć określonym celom, być podłożem dążności do zmian na lepsze. Może to przecież być też niecierpliwość w dążeniu do stabilizacji, do wyżycia się i użycia. Aby jak najwięcej dla siebie, a jak najmniej dla innych, dla społeczeństwa. Chyba nie o taką niecierpliwość chodzi — to oczywiście, ale to trzeba stałe wszystkim powtarzać. I nie o samą tylko niecierpliwość chodzi. Musi ona być podbudowana wiedzą, wiadomościami specjalistycznymi, dobrze opanowanym fachem.

Gdybym więc miał odpowiedzieć na pytanie: w czym upatruję szansę młodych — to sprzecywałbym to krótko: w olbrzymich możliwo-



ściach zdobycia wiedzy i olbrzymich możliwościach jej spożytkowania dla dobra własnego i społeczeństwa. Ale — ktoś może powiedzieć — nie zawsze tak jest w praktyce. Nie zawsze twórcze inicjatywy młodych znajdują warunki realizacji. Stwierdzenie, że „młodzi wchodzą w życie bez obciążeń” nie może jednak oznaczać tylko tego, że „nie piętrzą się przed nimi trudności”. Wydaje mi się, że istnieje wiele jeszcze barier, które hamują rozwój inicjatyw i to zarówno ludzi dojrzalszych, jak i młodych. Ot, choćby pozornie prosta sprawa awansu. Ileż razy młody z wysokimi kwalifikacjami musi ustępować przed starszym z dużym stażem, ale mniejszymi kwalifikacjami. Młody może jeszcze poczekać — mówi się wtedy, a przecież jedynym miernikiem powinien być interes instytucji i społeczeństwa.

Jeśli zatem mamy mówić o szansie młodych, to nie ograniczamy się tylko do stwierdzenia, że „już sama młodość jest ogromną szansą”. Wydaje mi się, że ta szansa zawiera się w jednoci świeżego spojrzenia na rzeczywistość z dużą wiedzą o niej. Młodym wprawdzie nie brakuje zapału i energii, ale nie brakuje też dążenia do zmian za wszelką cenę, bez pytania o ich skuteczność i celowość. A więc zgoda na niezadowolone z zastanej rzeczywistości, ale z uświadomieniem celu proponowanych zmian. Co oni mają dać społeczeństwu?

Jeśli już szukamy określenia szansy młodych, to trzeba — moim zdaniem — zwrócić szczególną uwagę na program wychowania młodego pokolenia. Jego zapał, twórczy niepokój i inicjatywy po-

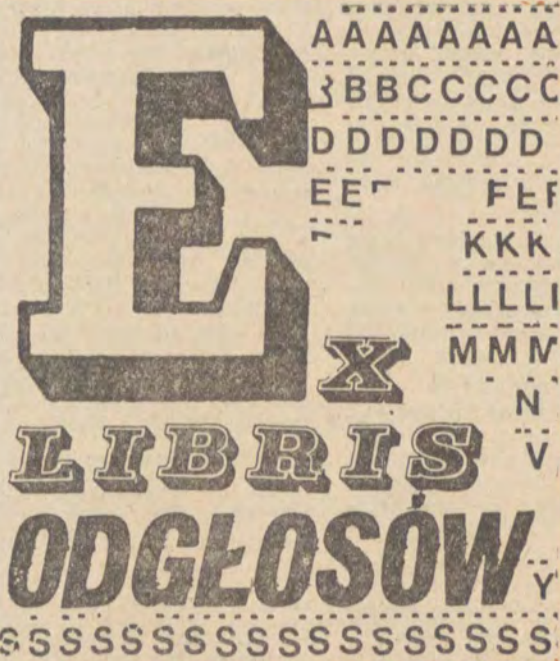
winno się wykorzystać w ogólnym dążeniu do rozszerzenia wszystkich form współzrządzenia krajem. To właśnie przy rozwijaniu socjalistycznej demokracji należy wykorzystywać twórcze inicjatywy młodych, pamiętając, że jest to dla nich jednocześnie szkoła rządzenia, uczenie się odpowiedzialności społecznej. Bardzo często problem ten sprowadza się do udziału przedstawicieli organizacji młodzieżowej w instytucjonalnych formach zarządzania. Ale to jest tylko formalnym podejściem do problemu, nie mającym nic wspólnego z wychowaniem.

I wreszcie ostatnia sprawa — studenci. Program rozwoju kraju stwarza i dla nich ogromną szansę. Olbrzymia rzesza studentów przygotowuje się do przyszłej odpowiedzialnej pracy. Ich przyszłe kwalifikacje powiększają jeszcze tę szansę. Ale już trzeba przygotować ich do przyszłego życia społecznego. Organizacje młodzieżowe, działające na wyższych uczelniach, starają się stwarzać studentom możliwość szerokich kontaktów społecznych. Wydaje się, że potrzeba więcej wysiłku, aby młodzież studencka, szczególnie w Łodzi było — jak to się mówi — widać. Łódź nie miała bowiem tradycji akademickich, a związki wyższych uczelni z miastem i jego życiem nie zawsze są jeszcze dostateczne.

I tak, mówiąc o szansie młodych, nie wolno traktować tego problemu zbyt wąsko, pokazywać tylko ogromu możliwości. Trzeba też pokazywać przeszkody i bariery, jakie stoją na drodze młodych.

BOGUMIŁ
MACIEJEWSKI

SZANSA MŁODYCH



SERIA ABC

„Ankarskie ABC” Augusta Grodzickiego i Jana Alfreda Szczepańskiego jest kolejną pozycją w znanym serii wydawnictwa „Iskry”. Rozmawiając o książce tej serii mały prezentować sobie w formie zwięzłego dekadery, Szykując jednak porzucić sztywne ramy i aże „ABC” jest z reguły totemem reportażu o prosiemach k r a j u, a nie stolicy.

Myślę, że to dobra metamorfoza... „ABC” prezentują nam w zajmującej, reportażowej formie problemy krajów i narodów, tysiący historii i odczuwając — wykraczając poza ścisłe granice tytułowej stolicy.

Autozy „Ankarskie ABC” porzucił nawet krepulaję układ alfabetyczny — i słusznie, bowiem już w poprzednim książkach tej serii nakaz „abecadariusz” zmuszał autorów do naciągania tytułów rozdziałów pod kolejne litery alfabetu. Było to sztuczne, śmieszne i niepotrzebne. Pierwszy wyłamał się z konwencji Olgierd Budrewicz w swoim „Tokijskim ABC”.

Książka Grodzickiego i Szczepańskiego przynosi nam uporządkowaną, syntetyczną informację o Turcji i choć książek na ten temat wydano w Polsce kilka — ta właśnie opowiada o Turcji zajmując i ciekawie. Nie mogło, oczywiście, zabraknąć w niej rozdziału „Na tropach polskich”, bowiem tropy te odnajdujemy zawsze i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach świata. Jest więc relacja z polskiego Adamu — wioski założonej przez emigrantów po Powstaniu Listopadowym. Jest także relacja z miejsca śmierci Mickiewicza, w domu przy Tatyli Baden w Stambule jest dziś małe muzeum pozostające pod opieką polskich władz.

Zresztą związki Polaków z Turcją były dawniejsze i bogatsze, niż się na ogół sądzi. Na kartach książki Grodzickiego i Szczepańskiego odnajdziemy je pieczołowicie wyszperane.

August Grodzicki i Jan Alfred Szczepański „Ankarskie ABC”, Wyd. Iskry, 1972.

REPORTAŻE Z WULKANU

„Karnawał na wulkanie” nazwał Olgierd Budrewicz swój nowy tom reportażu z Ameryki Łacińskiej. Tytuł ów tłumaczy Budrewicz tak: „Byłem tu ciągle uczestnikiem jakiejś wielkiej zabawy, obserwatorem „draki”. Kiedyś w czasie próby przewrotu w Caracas policjanci na skrzyżowaniu doradził mi życiowicie: „Niech pan lepiej jedzie aleją Urda-neta, a nie placem El Silencio, gdzie właśnie trwa rewolucja...”

Jest to więc opowieść o ciągłych niepokojach, nurtujących ten rejon świata. Niepokojach zresztą zrozumiałych. Miliony ludzi w Ameryce Południowej gnieźdzą się na marginesie wielkich metropolii — w dzielnicach nędzy i slumsach. Miliony żyją w interiorze, zapomniane, lub nie odkryte przez świat. Miliony prowadzą koczowniczy tryb życia, tkwiąc w zupełnie innej epoce historycznej...

Ala nie byłoby Budrewicz polskim reporterem, gdyby nie odnalazł na drugiej półkuli rodaków. I to zarówno takich, którym „się udało”, którzy tu zrobili karierę — jak i tych vegetujących, zderzonych przez nostalgę i nędzę.

Do pierwszych należy choćby rodzina Jaxa-Malachowskich, wybitnych architektów i budowniczych Limy, do drugich — zagubiony w San Jose były żołnierz. Węz znow opowieść z egzotycznych krajów staje się opowieścią o polskich losach. I w końcu nie wiem, czy to szukanie polskich śladów jest tylko cechą polskich reporterów, czy po prostu nie sposób przeoczyć obecność rodaków, którzy zakotwiczili w najdalszych nawet stronach świata.

Olgierd Budrewicz „Karnawał na wulkanie”, Wyd. Iskry, 1972.

DZIADZIA CZYLI SALIŃSKI

Mówili na niego „Dziadzia” i wzruszająco zagrał go w filmie Gustaw Holoubek. Myślę, rzecz prosta, o Stanisławie Marii Salińskim — mieszkańcu „Wspólnego pokoju” Z. Uniołowskiego, zapomnianym po trosze pisarzu, którego tak pięknie przypominało Wydawnictwo Morskie. Salińskiego wpakowano do szufladki z napisem „literatura marynistyczna” — jakże niesłusznie, choć istotnie napisał kilka pięknych opowieści morskich. Ale on po prostu eksploatował swoją biografie — swoje wędrówki starymi łajbami wzdłuż Zatoki Amurskiej, swoje rejsy — po Pacyfiku, noce polarne przeżyte nad Cieśniną Beringa i upalne słońce mórz Melanezji...

Kiedy wrócił do Warszawy owiana morską legendą — przywiozł ze sobą kapitał wrażeń i wspomnień, z którego korzystał często... Ale nie był tylko marynistą. Był po prostu dobrym pisarzem.

Zanim jednak wszedł do literatury — wszedł do legendy międzywojennej Warszawy. Dla wielu pozostał znany, tylko jako Jerzy Sewerny, autor odcinkowych powieści: „Barbaro kłamiesz!”, „Za jeden twój uśmiech Joanno!”, „Ale przecież tak naprawdę i poważnie wniósł do literatury kilka utworów rzadkiej piękności: „La Paloma”, „Opowieści morską”, „Hieroglify”, „Anna z Kamienią”...

Był zawsze pisarzem ludzkiego losu i wyrażał kształt tragizmu, który tyle losów przeżywał. Był urzeczony zawsze losem człowieka i samotną, jakże często, beznadziejną walką człowieka z losem. Marynistyczny sztafaż był tylko kołyszkiem, najbliższym mu — to prawda, bo przypominającym burzliwą młodość na dalekich morzach. Zmarł trzy lata temu w wyniku choroby, której korzenie sięgały malarz tropikalnej, przebiegłej w młodości na Dalekim Wschodzie. Po starożytnym marynarzu śmierć przyszła znaną Zatoką Amurskiej.

J. W.

Stanisław Maria Saliński, „Utwory wybrane”, Wyd. Morskie, tom I i II, cena 90 zł.

— Właśnie zaczął pan „Szalonego majora”. Za wcześniej jeszcze, żeby mówić o filmie, nie za późno jednak, aby porozmawiać o decyzjach twórczych, o nadziejach związanych z tematem i o motywacjach. Dlaczego więc „Szalony major”, dlaczego Hubal...

— Chcę poprzez postać Hubala jeszcze raz spojrzeć na polski Wrzesień. Postać Hubala daje szansę, aby spojrzeć nań szerzej i prawdziwiej.

— Co to znaczy „szerzej i prawdziwiej”?

— Na Wrzesień można patrzeć z perspektywy zaleszczycielki szosy, czym kinematografia i nie tylko kinematografia, karmiła nas w nadmiarze. Można też tak jak uczy nas historia, patrzeć na Wrzesień jako na początek wojny narodowej, zakończony zwycięstwem w Berlinie.

— Co to znaczy „historia nas uczy”. Przecież i historia uczyła nas tego tematu w bardzo różny sposób.

— Tak. Mówiąc więc ściślej, mamy okazję podyskutować z tą częścią naszej tradycji w filmie, w sztuce, w historii, która nazywa się antybohaterstwem i która dostrzegła w roku 1939 tylko rozpadowanie się domu z kart, nie widziała zaś walki całego narodu. Hubala w literaturze, w publicystyce, malowano zresztą różnymi odcieniami.

Wątkowicz na przykład, pisząc jeszcze podczas wojny, nie mając dostępu do materiałów źródłowych, dał nam „ku pokrzepieniu serc” obraz Hubala-Kmicica. Piękny, ale nieprawdziwy. U niego Hubal, to szermierz spuszczający szlachęckiej, odcięty od perspektywy, która miała nastąpić, perspektywę dnia dzisiejszego.

My jesteśmy w sytuacji wygodniejszej, około 60 hubalczyków żyje w kraju, kilku za granicą, ukazało się wiele książek o majorze, łącznie z najlepszą na ten temat, napisaną przez Marka Szymańskiego, żołnierza oddziału „Sępa”. Są też archiwa, dokumenty, rozkazy...

Zanim przystąpił do pracy nad filmem, przejechałem z węższą ekipą cały hubalowski szlak, wioska po wiosce, gajówka po gajówce. Wydaje mi się, że dobrze poznałem tę postać, okoliczności, w jakiej przyszło jej działać. Pozwoliło mi to też zweryfikować niektóre partie scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego.

Poznałem postać pasjonującą. I poprzez jej cechy charakterologiczne i przez to, że układa się, mimo swego skomplikowania, w klarowny obraz symbolu. Hubal — to naród, który nie przestał walczyć, nie podpisał aktu kapitulacji.

— Nie zawsze tak właśnie odczytywano decyzję majora...

— Tak... Nawet go oskarżano o wiele rzeczy. Po pierwsze o niesubordynację, wręcz warcholstwo, po drugie — o narażanie na pacyfikację ludności cywilnej. Dziwne wydają mi się te oskarżenia. Był przecież Hubal zastępcą dowódcy okręgu Kielce; poza tym — dzisiaj mówić o niesubordynacji wobec rządu londyńskiego...

A pacyfikacje? — ten zarzut jest po prostu polityczną demagogią. Pacyfikacje odbywały się nie tylko na tych terenach i w tym czasie, w którym działał Hubal; istniał przecież plan totalnej eksterminacji narodu. Oskarżać Hu-

złaszcza w wojsku. Najmłodszy major WP, później już nie awansował, za twardy miał kręgosłup, zbyt wiele i zbyt samodzielnie myślał. W pierwszej okupacyjnej rocznicy pierwszej niepodległości, wygłosił słynne przemówienie, w którym mówił o tym, że niepodległość wyglądała gorzko, trzeba będzie starać się o lepszą. To oczywiście jeszcze nie koncepcja polityczna, w interpretacjach nie należy iść zbyt daleko; klęska wrześniowa potwierdziła mu jednak wcześniejsze oceny.

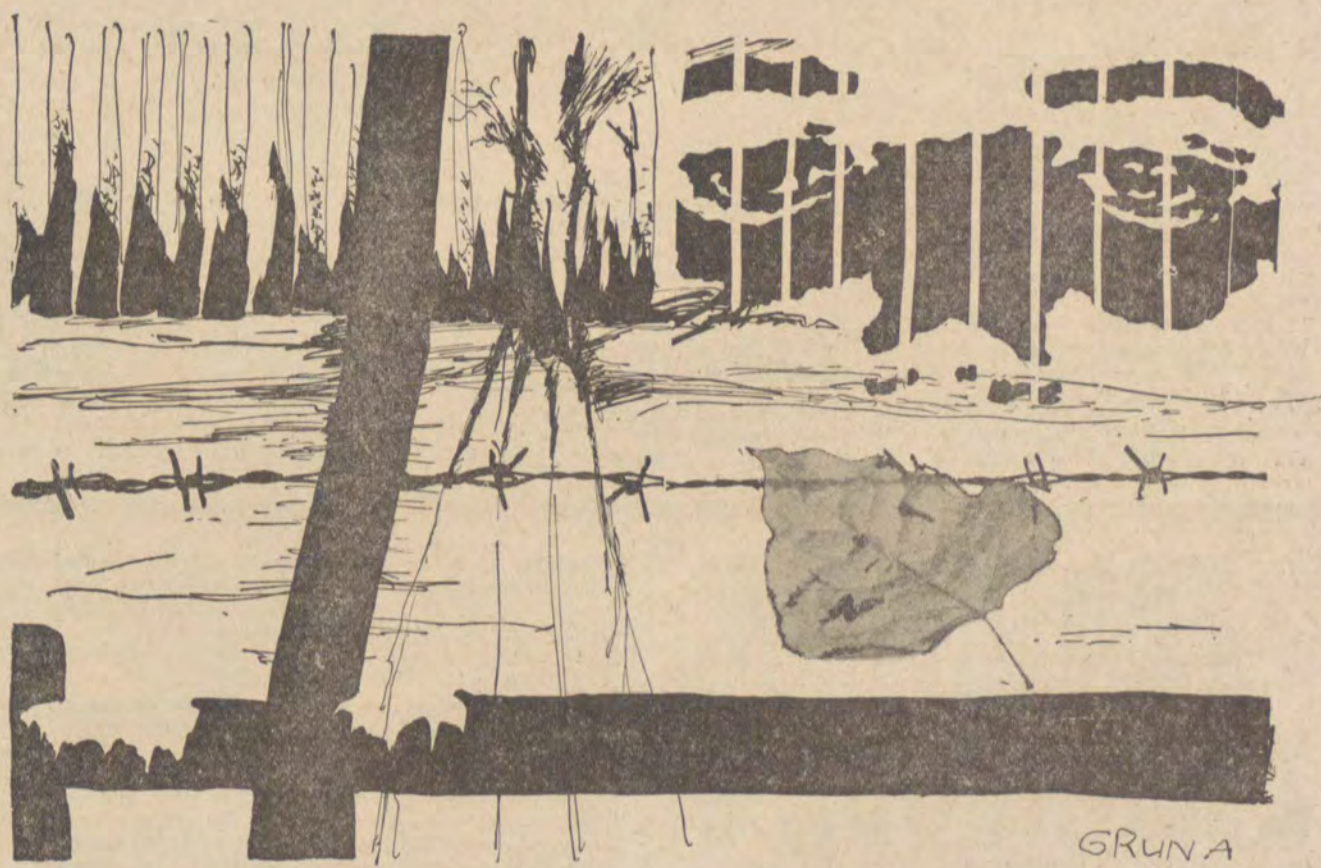
Tenże ziemianin, wychowany w „tamtej” epoce, postawił pierwszy krok w kierunku dnia dzisiejszego, dzisiejszej mentalności. Stworzył ludową, partyzantkę, jadł z jednej miski, sypiał na jednej podłodze z chłopami z Kielecczyny, spod Tomaszowa, z Piotrkowskiego. Jest to taki przeskok, jak od księcia Józefa Poniatowskiego do Czapajewa. Pomost do teraźniejszości. Budowany nie na mieście, lecz na bardzo konkretnych przesłankach, wyrósł nie z romantycznego gestu, lecz z bardzo „racjonalnego” podłoża.

Był wojskowym, myślał po wojskowemu. Bardzo trzeźwo. Jak dobry fachowiec. Nie był szaleńcem (dlatego też tytuł filmu zmienimy chyba na prostu na „Hubal”). Według planów mieliśmy się bronić niecałe dwa tygodnie, tymczasem walka trwała 7 tygodni, walka Hubalczyków — 8 miesięcy. Warto pamiętać o tym, że Hubal zginął w momencie, gdy dudniły już strzały nad Narwikiem. Jedyń jego błąd, to wiara w orientację proaliantką. Błąd istotny — będzie to jedna z głównych myśli filmu — ale dość pospolity w tamtych dniach. Przygotowywał olbrzymie uderzenie na zaplecze przeciwnika, obliczone na moment wyjścia alianckiej ofensywy. Nic z tego nie wyszło, ale nie z jego winy. Dzięki niemu można jednak mówić, że nie było ani dnia przerwy w walce regularnych sił zbrojnych; był ostatnim regularnym żołnierzem i pierwszym partyzantem. Niemcy potwornie go się bali, przede wszystkim jako iskry zapalnej. Doceniali polityczną wartość jego decyzji. I dlatego starali się zatrzeć wszelkie ślady po nim. Do dziś nie wiemy, gdzie został pochowany.

— Będzie więc film wskrzeszeniem pewnych idei...

— Chciałbym, aby był. Ogólnie rzecz biorąc istnieją dwie postawy wobec tradycji i historii. Pierwsza, to zrywanie mostów, wyszukiwanie wszystkiego, co nas dzieli. Druga, to właśnie wyszukiwanie pomostów między historią, teraźniejszością i przyszłością, budowanie podstaw współczesnego myślenia na gruncie najlepszych tradycji. Chciałbym, ze swoim filmem, zająć postawę drugą. Nie bardzo bowiem rozumiem, jak w kraju, który był skazany na bohaterstwo walki, tak jak dziś skazany jest na bohaterstwo pracy, można pogardliwie patrzeć — aby już nie używać wielkich słów — na postawę aktywną. A tymczasem najsmutniejsze jest to, że najlepsze nasze filmy często taką właśnie pogardę upowszechniały. Przygotowując się do pracy nad „Hubalem” obejrzałem na świeżo dwa filmy o Wrześniu. Pierwszy, „Wrzesień — tak było” — Jerzego Bossaka, pokazuje właściwie wyłącznie klęskę, nie pokazuje walki. Gdybym był „wrześniowym” Niemcem, z przyjemnością bym ten film oglądał. Opowiadam się za innym spojrzeniem, za „Spojrzeniem na Wrzesień” Macieja Sienkiewicza. Chciałbym umieścić się po stronie ideowych zało-

Nie tylko o Hubalu



GRUNA

bala o prowokowanie pacyfikacji, to tak, jakby zmniejszała odpowiedzialność hitlerowców. Jakoś nie spotkałem się z tym, żeby Francuzi oskarżali swój ruch oporu za Oradour, Czesi za Lidice, Jugosłowianie za Kragujevac...

— To jest, czy było demagogią?

— I było i jest. Jeszcze dziś blakają się w publicystyce podobne zdania, jest paru ludzi, którzy bardzo chętnie mówią o Hubalu w tym tonie. Dyskusje, jakie przeprowadzałem w związku z podjętym tematem, przekonały mnie, że nie wszyscy znają prawdę o Hubalu. A więc i o okupacji. Widzę w tym konfrontację dwu postaw. Biernej i aktywnej. Wobec walki, wobec wojny, wobec hitlerowców, wobec życia w ogóle.

Nie miał major sprecyzowanej ideologii, ale przecież naród jako całość także jej nie miał. Hubal, choć wychowany w tradycji szlacheckiej (ród jego wywodzi się od adiutanta Stanisława Augusta), legionowej nawet, już jednak przed wojną skłócony był z pewnymi układami,

żeń „Pocztę Gdańską”, „Westerplatte”, w żadnym zaś wypadku po stronie „Lotnej”. Zadaliliśmy przecież w roku 39 największe straty Niemcom. Jeśli nawet nie liczyć Hubala, biliśmy się 7 tygodni, podczas gdy wielkie potęgi padły w ciągu czterech.

— Kształt filmu...

— Chcę jak najlepiej wykorzystać naturalny układ wydarzeń, ich dramaturgię prawdziwą, zaznaczającą się w przemijaniu czasu, oczekiwaniu na wiosnę... Ukazać zrosnięcie się hubalowych ludzi z ziemią, z której wyrosli, i w której niejedyn pozostał. Nic więcej mówić nie chcę, film przecież dopiero powstaje. Liczę bardzo na współpracowników, którzy, tak jak i ja, traktują tę pracę „zaprofesjonalnie”, wiążą ją z określonym wyborem ideowym.

ROZMAWIAŁ:
JERZY KATARASIŃSKI

KONRAD
FREJDlich

Zatrzymać rzekę

S kraj lasu potęguje to doznanie. Bo to patrząc spod rzadkich drzew na ogromną, niekawatą łachę piasku i zwarzonych traw, doświadczasz uczucia, którego gdzie indziej przeżyć chyba nie można: jakby się gwałtownie rozgęścił krajobraz. Oddalona rzeka nie zapowiada jeszcze niczego, ale my, gromadka dziennikarzy, wiemy przecież: dziś Pilica zmieni swoje koryto.

W czerwonym budynku Zarządu Inwestycji Zabudowy Dorzecza Wisły Środkowej podejmuje nas dyrektor Zbigniew Ambrożewski. Warszawiak, tu prawie wszyscy z Warszawy.

— Chwila — powiada żartobliwie — jest w pewnym sensie historyczna.

Mimo woli zerkam na kalendarz: sobota, 23 września 1972 r. i przenoszę wzrok na mapę Sulejowskiego Zalewu. Jeszcze go nie ma, ale przecież ta karta nie kłamie. Za niecały rok znajdzie się pod wodą prawie 22 km kwadratowej ziemi, na której do niedawna pasły się krowy i rosły lasy.

Jak się to wszystko zaczęło?

Spróbujmy odtworzyć kronikę tej gigantycznej budowy, której oddalony kontur widoczny z okien biura, ciągnie się wysokim nasympem podchodzącym do rzeki. Sprawa niby prosta: woda, ta zwyczajna pitna woda, która cieknie z kranu po otwarciu kurka. Woda dla Łodzi. I dla przemysłu w Pabianicach. A także dla rejonów rolniczych ciągnących się wzdłuż kanału Pilica — Ner i w dolinach rzek Wolbórki i Pilicy.

Decyzja budowy Zalewu zapadła w grudniu 1968 roku. W

czerwcu 1969 na miejscu przyszłego jeziora pojawiły się pierwsze ekipy pracowników.

Andrzej Wilczak, wspomina:

— Byłem tu pierwszym kierownikiem. Jesienią sześćdziesiątego dziewiątego było nas tutaj 16 pracowników technicznych. Całe bractwo w jednej budzie Drzymały, bo niczego jeszcze nie było. Drogi trzeba było dopiero zbudować, wykarczować lasy. Niby to dla mnie nic nowego, bo wcześniej regulowałem Ner pod Rzgowem, robiliśmy tam melioracje. No i ludzie nie byli łatwi, Ochotnicze Hufce Pracy, wojsko...

„Tyle ci powiem, jak zdzieraliśmy humus pod zapórą, to jakbyśmy trafili na Saharę. Normalnie, pustynia. Piach uciskał się do oczu, wypluwałeś go, wyczyszczałeś z włosów. Wystarczyło leciutki wiaterek, a na tych otwartych przestrzeniach dmuchało solidnie. Tumany piachu, władze zwierzęce uciekały z inspekcji.

Ale stopniowo następowała stabilizacja. A jest to ten typ budowy, gdzie natychmiast widać rezultaty pracy. Zwłaszcza gdy roboty są rozumnie zorganizowane, a to właśnie cechuje kierownictwo „Hydrobudowy-1”. Tego samego przedsiębiorstwa, które przed czterema laty przegrodziło Wisłę pod Włocławkiem.

Budowa zbiornika wodnego jest zazwyczaj kilkusetmetrowa, bo też wymaga wzniesienia całego kompleksu obiektów, dzięki którym ujarzmić można rzekę, zwłaszcza tak bystrą jak Pilica. Więc przede wszystkim to, co się najbardziej rzuca w oczy: zapora czołowa usypana z piasku, wzmocniona osłoną żelbetową i glinianym fartuchem. Ponad pół miliona metrów sześciennych ziemi i betonu. Dalej długi betonowy jaz.

Wreszcie elektrownia wodna umieszczona w prawym prześle jazu.

NA ZAPORZE

Nad zapórą jedziemy żółtym „gazikiem”, drogą z ułożonych na kształt toru betonowych płyt. Wszystkie drogi są takie, bo przecież, choć brzmi to szokująco, poruszamy się po dnie przyszłego Zalewu. I już z daleka, dostrzegamy ruchliwe ramiona dwóch samobieżnych koparek. Kiedy wysiadam, moje półbuty zapadają się głęboko w wilgotne podłoże. Ktoś mówi:

— Tutaj, pod warstwą piasku zalegają wapnie, a więc trudno było odwieźć teren, to nas opóźniło z robotą o pół roku.

Inżynier Antoni Gaertig, kierownik grupy robót nr 11 uprzedza:

— Połowa ludzi tu się nie obrazi, gdy będzie ich pan tytułował inżynierami, a połowa z nich to albo była dyrektorami, albo będzie.

Więc pytam o kadry i zaraz słyszę, że „Hydrobudowa” zatrudnia 450 robotników. Plus kadra inżyniersko-techniczna, 14 inżynierów i 20 techników.

Ale jazgot pracujących „Krazów” i „Tatr”, które wożą piasek, nie pozwala na prowadzenie uporządkowanej rozmowy, zagłusza słowa. Twarze ludzi kierujących operacją przegrodzenia Pilicy są uśmiechnięte, ale ten pogodny nastrój maskuje napięcie. A także zmęczenie. Te ostatnie dni były wypełnione gorączkową pracą. Do nocy. Nikt się nie oszczędzał. Nie dalej jak wczoraj dokonali ważnej operacji: zalania betonów od strony wody górnej. Teraz czeka ich zadanie najtrudniejsze: przegrodzenie rzeki i skierowanie jej w nowe koryto zamknięte jeszcze grodzia od strony wody górnej. Tam, we Włocławku, nad Wisłą, czekali na taką chwilę sześć lat. Tu, nad Pilicą — równe trzy. Nic dziwnego, że niektórych zawodzi nerwy. Ot, choćby operator koparki, który nieoczekiwanie dla siebie skapał się w chłodnej wodzie. Te potężne maszyny wykonują swoją pracę dokonując niustannie półobrotów, przy których kabina przemieszcza się o 180 stopni. Chłop zapominał, że kabina znalazła się właśnie nad wodą i z rozmachem skoczył w lodowatą toń. Bo chociaż świeci oślepiające słońce, dzień jest chłodny.

— Uwaga, zaczynamy!

Czerpak koparki wdarł się w grodzia od strony wody górnej.

Wystarczyło parę ruchów i nagle, przez wyrwę, jaka powstała w pryzmie piachu, runęła bezgłośnie woda barwiąc brudnożółtym nalotem powierzchnię nowego koryta rzeki. Była godzina 11 minut 43. Nowy nurt rzeki zaczął się z każdą chwilą poszerzać, woda leniwie popłynęła między przesłami jazu.

Teraz czas zaczął płynąć szybko, gwałtowniej.

Przeprawiam się na lewy brzeg Pilicy, gdzie kilkanaście spychaczy przetacza ogromną hałdę piasku, żeby ją zepchnąć w rzekę. Tutaj kieruje pracami inżynier Rafał Piotrowski, ubrany w jaskrawoczerwony skafander.

Twarz zmęczona, ze śladami niewyspania. Bo pracowali do drugiej w nocy, a wstać trzeba było już o szóstej. Ale właściwie przywykli do tego, w maju i czerwcu także nie oszczędzali się z robotą.

— Pociągala mnie zawsze praca terenowa i dlatego wybrałem sobie taki zawód — mówi, śledząc uważnie zmagania spychaczy.

Ukończył Wydział Budownictwa Wodnego na Politechnice Warszawskiej w roku sześćdziesiątym czwartym. I od razu zaczął pracować na budowach w terenie, choć oczywiście drobnych, których nie można przyrównać do Zalewu. Owszem, był zadowolony, chociaż masę czasu tracił na dojazdy, czuł się potrzebny. Aż spotkał kolegę ze studiów, który pracował na sulejowskim zbiorniku wodnym. I sprawa była krótka: w 1970 przyjechał do Smardzewic i zamieszkał na kwaterze prywatnej w chłopskiej chacie. Później przeniósł się do tak zwanego osiedla „przestopniowego”, tam, wraz z dwoma kolegami zajął jeden domek. Widywali się tylko nocą, bo praca przez cały czas była dwumianowa i większą część dnia spędzał nad rzeką. Wiosną tego roku przeniósł się do hotelu pracowniczego, nie mieszka tam, lecz śpi, to normalna na budowie. Raz na tydzień jeździ do Warszawy, żeby nie zapomnieć jak wygląda żona.

Kłopoty? Te operację planowano na koniec sierpnia, wszystko przygotowane, ludzie i sprzęt w pogotowiu. Ale nieoczekiwanie przyszła fala powodziowa, wysoka woda. Pilica niosła 300 metrów sześciennych wody na sekundę, rozmyła drogę dojazdową i przerwała transport. Mieli przestoje, bo chociaż po dwóch dniach rzeka opadła, trzeba było naprawiać to, co zmiotła swoim wściekłym impetem.

— A jak będzie dzisiaj? — pytam.

— Dzisiaj? — uśmiecha się. — Musi się udać.

Wdrapuję się na świeżą przyzmę, którą przyniósł mi pod nogi spychacz. Tu na przyczółku usypa-

nym z kamieni i piachu, który wdarł się w nurt rzeki na 140 metrów, maszyny harcują na całego. Usiłują je policzyć, ale to daremny wysiłek, więc tylko pytam kogoś i słyszę, że spychaczy, zgranierek i koparek jest 37, a prócz tego 30 ciężarówek, potężnych, dziesięciotonowych. Nie opodał mnie stoi Ksawery Krassowski, wiceprzewodniczący Prezydium RN m. Łodzi, który także zaangażował dla siebie świeżą przyzmę piasku. Marzniemy, zrywa się wiatr i zaczyna śnieć zimny, dokuczliwy deszcz. Pośrodku rzeki, na wyspie, także uwiązają się maszyny, spychacze zgraniają faszynę i piasek. Tam znajduje się ścisły sztab całej operacji, którą kieruje inżynier Wiesław Kłosiniński.

Poznałem go we Włocławku, kiedy przegradzał Wisłę i teraz przepisuję dane ze starych notatek: Kłosiniński jest kierownikiem budowy zapory czołowej. Praca zgodna z kierunkiem ukończonych studiów: Budownictwo Wodne, Politechnika Warszawska, inżynier magister. Zanim przyjechał do Włocławka, robił dla Łodzi kanalizację na ulicy Warszawskiej i pracował przy drugiej nitce rurociągu Pilica — Łódź. Robota odpowiedzialna, choć nieco monotonna. Mieszkali w wozach Drzymały, w robotniczych hotelach i na kwaterach prywatnych. Zliczwszy wszystko dokładnie, dziesięć lat na delegacjach służbowych.

Kiedy dodamy etap sulejowski będzie tych lat już czternaście, toteż tutaj, nad Pilicą zabrał ze sobą żonę.

— A wie pan — zauważa — dorobiłem się, kupilem „Wartburga”, pełnomocnik rządowy przydzielił mi go na raty.

OPERACJA „RZKA”

Ale na razie nie ma okazji porozmawiać. Pierwsze tony kamienia poleciały w rzekę z przyczółka. „Krazy” podjeżdżają, unoszą skrzynię i pozbijają się swego ładunku.

— Za wolno, cholera — niecierpliwi się ktoś stojący obok mnie.

Dopiero teraz spostrzegam, ciężarówka nie suną już tak rytmicznie, jak przed chwilą. Po chwili wiemy już, bo wieść podawana jest z ust do ust: nawaliła jedna z koparek czerpiących kamienie. Po chwili kolejna wiadomość: wyśladała jeszcze jedna koparka.

— Psiakrew, akurat w takim momencie.

Operacja wydłuża się w czasie, już dawno minęła godzina szesnasta, wyznaczająca orientacyjny termin przegrodzenia rzeki. W kopalni kamienia na lewym brzegu Pilicy mechanicy gorączkowo usuwają awarię. Korzystam z tej chwili przerwy, żeby porozmawiać

SPOTKANIE Z MARCUSE’M

Dalszy ciąg ze str. 1

sowieckich uniwersytetów: Columbia i w Harvardzie. Jego prace, jak „Rozum i rewolucja”, „Eros i cywilizacja” — znane są powszechnie młodemu współczesnemu pokoleniu na Zachodzie. Stały się ideowymi przewodnikami studenckiej rewolucji.

SPOTKANIE Z FILOZOFEM

Z racji moich naukowych zainteresowań zatrzymałem się w małym niemieckim miasteczku — Freiburgu, którego uniwersytet i naukowa atmosfera znane są w całej Europie. Zaabsorbowany własną adaptacją w nowym śro-

dowisku, kiedy w południowych godzinach odwiedzałem studencką stołówkę, obojętnie przechodziłem obok rozdawcy ulotek, czy miejscowych trybunów protestu. Aż zelektryzowała mnie wiadomość: za kilka dni z gościnnym wykładem wystąpi dawny słuchacz uniwersytetu we Freiburgu — HERBERT MARCUSE!

W dzień wykładu, o wiele wcześniej spieszę do Auditorium Maximum, ażeby zająć dogodne miejsce. Moje przypuszczenia o nieustającej popularności H. Marcuse’a, okazują się słuszne. Sala wypełniona po brzegi. Nie skonfundowany wpieram się łokciami w tłum. Siadam na ziemi tuż obok przydzielonego stołu. Moja zdecydowana akcja oszałamia organizatorów. Za moim przykładem, w ciągu kilku sekund, inni zajmują wszystko, co nadaje się do siedzenia.

Rozglądam się po sali. „Zarośnięty indywidualizm” stał się modą i szykiem. Dziewczyny ubrane niedbale, w koszulach, wypuszczonych na spodnie. Mężczyźni mają obojętnie dłuższe włosy, brody, wąsy i długie włosy. Niektórzy pojeżdżali już koszułami, obnażając spoczone torsy.

Tłum z korytarzy napiera. Od czasu do czasu skandowanie: Mar-cu-se! Mar-cu-se! Z prezydium pada wezwania do zamknięcia drzwi. Nikt nie słucha. Obliczam na oko — sala z tysiącem miejsc co najmniej podwójnie zapelniona. Gorąco. Dochodzi dwudziesta.

Nagle od drzwi okłaski. Słychać okrzyki: Przejdźcie dla Marcuse’a! Przez zwarty tłum przeciska się starszy, zupełnie siwy człowiek, w zielonej koszuli, i białym, lekko brudnym podkoszulku. Orli nos, małe, bystre oczy ukryte w krzaczastych brwiach, pełna wyrazu czerstwa twarz o surowej cerze. Nie dałbym mu więcej, niż 55 lat, choć ma ich już 74.

Staje przed mikrofonami. Nagłym ruchem podnosi rękę zacisniętą w kulak. Pozdrowia krzyżując ze wzruszenia tłum,

Siedzę tak blisko, że mógłbym go pociągnąć za rękaw. H. Marcuse daje ręką znak, że zaczyna. Tłum powoli cichnie. Filozof wysokim, zaskakująco młodym głosem, zadaje pytanie, które jest jednocześnie tematem wykładu: Czy możliwe są radykalne zmiany we współczesnym kapitalizmie?

PRAWDY MISTRZA MARCUSE’A

Filozofia buntu H. Marcuse’a opiera się na dość dowolnej interpretacji marksizmu. Profesor uważa się za jednego z czystych marksistów we współczesnym świecie. O innych mówi: „Nie wyzwolili się jeszcze z dogmatycznego widzenia Marksa”.

Wykład rozpoczyna się od analizy współczesnego kapitalizmu. Operując amerykańskimi przykładami Marcuse ukazuje agresywną rolę państwa kapitalistycznego w świecie i stosunkach wewnętrznych. Nie potrafiło ono jednak zapobiec alienacji pracy, represyjnej konsumpcji, czy pogłębiającej się sprzeczności między pracą produktywną i bezproduktywną. Stany Zjednoczone w ujęciu filozofa, to społeczeństwo przesycone nadprodukcją, w którym dominuje dążenie do podniesienia poziomu życia. To społeczeństwo „ponadkonsumpcji” (überflussesellschaft) oparte na własnej nadprodukcji, wytwarza frustrację moralną i psychiczną, szczególnie ujemnie wpływa na młode pokolenie. Profesor wskazuje na powszechną ucieczkę młodych ludzi w świat prymitywu i natury, czy też na wysoki wskaźnik chorób psychicznych i nerwowych, rozprzeczających się wśród młodych robotników zatrudnionych w wysoko zautomatyzowanych przemysłach.

Utrata naturalnego związku ze środowiskiem, alienacja w pracy zawodowej — to tylko niektóre składniki zmian ilościowych uznawane przez Marcuse’a za najistotniejsze choroby współczesnego kapitalizmu. Te choroby staną się

z Leonem Jurkiem, który pracuje na zgarniarce. Przyszedł do „Hydrobudowy” 23 lata temu, solidny kawał czasu. Zawsze w rozjazdach, tylko urlopy spędza w domu. A praca nielekka, bo cały czas w kurzu i hałasie motorów, piątek — świętek, lato — zima. Ale robotę swoją kocha, inaczej by się jej nie trzymał. Ważniejsze budowy? No więc pracował we Wrocławiu, w Solinie, w Koronowie. Przez ten czas odchowwał mu się syn, który ma już dziewiętnaście lat i też pracuje w „Hydrobudowie”.

Awaria już usunięta, teraz samochody suną niewstrzymanym potokiem i gęstnieje tłum gapiów na lewym brzegu rzeki. Szybko rośnie stos kamieni na skraju przyczółka.

— Jak jej dadzą taką porcję.
— Teraz powinno starczyć.
— Uwaga, panowie, patrzeć na zegarki, zbliża się zasadniczy moment.

Ogromny spychacz „ZET” o mocy 250 KM spycha kamienie w nurt rzeki, który natychmiast staje się szybszy, woda klebi się i huczy niosąc brudną pianę. Ale odległość między przyczółkiem a wyspą, jakby się wcale nie zmniejszyła, bo Pilica odwzajemniła się wściekłym atakiem podmywając skarpe na sąsiednim brzegu.

Więc znowu trzeba było zacząć wszystko od początku, znowu ruszyły „Krazy” ruchem wahadłowym i znowu dziesiątki, setki ton kamienia runęły do wody. Stare

koryto Pilicy skurczyło się gwałtownie. Zostało ostatnie 15 metrów, tych najgorszych. Główny nurt rzeki, ostrym klinem wdzierał się w spokojniejszą wodę za przyczółkiem. Liczyła się każda chwila, ważne były dosłownie sekundy, kiedy nagle jeden z „Krazów” zarył się kołami w piachu blokując dostęp do krańca przyczółka. Natychmiast podesłano tam potężny „ZET”, założono linę holowniczą. Nie wytrzymała obciążenia. Więc natychmiast kolejny odciniek stalówki. Nie zważając na niebezpieczeństwo ludzie uchwycili ją rękami, jakby zamierzali pomóc spychaczowi. I tym razem udało się, znowu ruszył sznur cięzarówek i znów poleciał w rzekę grad kamieni. Znowu zepchnięto w nurt tony ziemi.

Teraz wszyscy zrozumieli, że nadszedł ten najważniejszy moment. Wolno ruszył „ZET” kierowany przez Eugeniusza Zarębę i jego pomocnika Kazimierza Robaka. Z przeciwnej strony, od wyspy, zaterkotał ciężko spychacz Józefa Ryznera. Obie maszyny pchały przed sobą górę kamieni i piasku. Widoczność była ograniczona, zrobiła się ciemność i tylko latarnie innych maszyn ślizgały się po fali rozświetlając na chwilę wodę. Nagle maszyny stanęły, zapanała ogłuszająca cisza. Zrozumieliśmy nagle: Pilica przegrodzona. Była godzina 19 minut 15.

Wszyscy runęli na przyczółek, żeby przejąć suchą nogą na „wyspę”, na drugi brzeg. Nie wiadomo skąd znalazł się nagle szampan. Gaertig i Kłosiński, kie-

rownik budowy i jego zastępca spełnili pierwszy toast i padli sobie w objęcia.

EPILOG

Ludzie rozechodzili się powoli, chociaż za przyczółkiem czekały już samochody, które miały nas przewieźć do biurowca, na zaimprovizowaną uroczystość. Zasiadliśmy do stołów ustawionych w podkowie, zaczęły się przemówienia i toasty. Cytuję z pośpiesznie robionych notatek: Po raz pierwszy w historii Polski Ludowej budową takich rozmiarów kierowali od początku ten sam kierownik i ten sam jego zastępca. (To o Gaertigu i Kłosińskim). Tradycyjnie taka budowa trwa 7 lat, na Zbiorniku Sulejowskim o połowę krócej. Zastosowano cały szereg nowych rozwiązań, choćby kłapy soczewkowe jazu. Także folia, którą uszczelniono grunt obok zapory nigdy jeszcze nie była na żadnej budowie stosowana w takim zakresie.

Przerwały mi rozlegające się dookoła oklaski i wiwaty. To wiceprzewodniczący Krassowski ogłosił w imieniu wszystkich mieszkańców Łodzi:

— Rada Narodowa przeznaczyła 100 tys. złotych na nagrody dla budowniczych Zbiornika Sulejowskiego.

Siedziałem obok Andrzeja Wilczaka i jego przyjaciela inżyniera Krzysztofa Kruszeńskiego, który jest hydrotechnikiem. To właśnie jego zasługą jest zastosowanie folii. Rozluźnieni, prowadziliśmy swobodną, towarzyską rozmowę.

Krzysztof zauważył nagle: — Tu na budowie, nie pije się wódki, chyba że dzień taki, jak dzisiaj. Za pijaństwo wylatuje się z pracy. W okolicy nazywają naszą „Hydrobudowę” Zakładem Odwykowym Gaertiga.

Andrzej: — Wszystko zależy od ludzi, a ja mam takie szczęście, że u mnie pracują sami łodziacy. Ludzie są przyzwyczajeni do mnie, mówią krótko: „Panie kierowniku, pan rozumie”. Zaden człowiek nie przejdzie gdzie indziej.

A potem do mnie: — Kupuj sobie łódkę. Krzysztof zaczyna budować molo, 320 metrów długości. A jak nie kupisz, to i tak przyjeżdżaj, wspólnie popływamy. Bo już w maju będziemy piętrzyć Pilicę.

— Przyjadę — powiedziałem.

W przyszłym roku popłynię do łódzkich mieszkań woda z Sulejowskiego Zalewu.



Fot. A. Wach

— jego zdaniem — przyczyną społecznego buntu, samoistnego, bo wywołanego nie nową ideologią, lecz warunkami społecznej konsumpcji, która już przewyższyła zaspokajanie potrzeb. Kapitalizm w momencie przejścia z produktywności w nieproduktywność, co jeszcze stanowi jego siłę napędową, w sensie ekonomicznym poprzez sterowaną spiralę cen i płac, w sensie społecznym poprzez manipulację potrzebami, zakończył swoją historyczną rolę. Nie oznacza to jednak upadku kapitalizmu w ogóle.

Radykalne zmiany we współczesnym kapitalizmie nastąpią wtedy, gdy ulegną zmianie potrzeby społeczne, co spowoduje zanik podstawowych mechanizmów ekonomiczno-społecznych kapitalizmu. Swoistą interpretacją współczesnego kapitalizmu, w szczególności zaś uzależnianie jego upadku od zmiany zakresu ludzkich potrzeb, jest co najmniej metafizyka, której Marcuse często hołduje we własnej dialektyce pojęć i rozumowania. Filozof, kontynuując wykład, przechodzi do jego najważniejszej części, tzw. koncepcji „prawdziwych potrzeb”. Trudność jednak polega już na samym zdefiniowaniu tego pojęcia, określonego jedynie przez negację potrzeb materialnych. H. Marcuse, poprzez ilustrację przykładami, wskazuje, że potrzeby rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego są „jednowymiarowe”. Zaspokajają one byt człowieka w sensie funkcjonalnym lub prestiżowym, nigdy zaś duchowym. Zaspokojenie potrzeb duchowych jest tylko marginesem i tym samym „homo-intelektualis”, a więc człowiek o rozwiniętej osobowości własnej, jest dopiero marzeniem przyszłości. Właśnie w oparciu o te przesłanki wprowadza H. Marcuse nowe pojęcie rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego — „społeczeństwa jednowymiarowego” (Eindimensionale Gesellschaft), które powoli zdobywa sobie prawo obywatelstwa w burżuazyjnej polityce.

Ze zmianą zakresu potrzeb wiąże H. Marcuse nadzieję na radykalne przemiany społeczne we współczesnym ka-

pitalizmie. Na tym tle rodzi się ruch protestu, który ma uświadomić masom beznadziejność życiowych i społecznych celów.

Któż jednak ma stać na czele ruchu protestu w świecie? — to pytanie, które stawia sobie filozof w dalszej części wykładu.

„Zarzucają mi — mówi Marcuse — że głoszę upadek kierowniczej roli klasy robotniczej we współczesnych przemianach. Nie gorszego. Nigdy tak nie mówiłem. Klasę robotniczą uważam niezmiennie za podmiot przyszłych przemian, ale...”

No, i właśnie. W znaczeniu marksowskim współczesna klasa robotnicza krajów wysoko rozwiniętych — mówiąc ogólnie — zdrobnomieszczała i nie odpowiada pojęciu „klasy dla siebie”. Socjologicznie jest to klasa robotnicza, z punktu widzenia marksizmu nie jest to jeszcze proletariatus, bo nie posiada sprecyzowanej świadomości klasowej.

„Studentów nigdy nie typowałem na przywódców ruchów społecznych — kontynuuje filozof. — Owszem, odwoływałem się do ich świadomości, uważając ich za katalizator niektórych przemian. Upatrywałem także w ich radykalizmie przykłady dla innych grup społecznych. Studencki ruch protestu charakteryzował się przecież zupełnie nowymi cechami: całkowitą negacją kapitalistycznej rzeczywistości i spontanicznością reakcji jako formy organizacyjnej. W świetnie zorganizowanym współczesnym świecie negacja i spontaniczność są jedynymi formami walki, które zalecałbym także klasie robotniczej. Ruch protestu, który prowadzi studentów całego świata, wyłoni nowych intelektualnych przywódców dla przyszłości”.

Objawienia Marcuse’a, czerpiącego niewątpliwie inspirację z Marksa, dalekiego jednak w swoich utopijnych tezach od marksizmu, fascynują wciąż jeszcze współczesnych studentów. Ten „rewolucyjny” filozof z łatwością

poruszający się ze swoim bagażem krytycznych teorii po całym świecie, głosi, zakamuflowaną w pseudomarksizm, wiarę w przemianę współczesnego kapitalizmu. Co najciekawsze — filozof wymyśla coraz to nowe koncepcje, które pozostają często w zasadniczej sprzeczności z dziełami przez siebie napisanymi. Do jednego z najbardziej charakterystycznych błędów „marksizmu” należy „rozwiązanie” roli klasy robotniczej, pomimo pozorów jej uznawania oraz przełożenie akcentów rozwoju społecznego na zupełną samoistność reakcji i buntów w tym zakresie. Samoistność procesów społecznych, pochwała spontaniczności i emocji przed rozumem, dowolna strategia celów, taktyka peryferyjnych protestów itd., itd., czyni z tego wszystkiego dość dowolną mieszankę improwizacji na rubieżach marksizmu.

Po wykładzie — dyskusja. Padają pytania: Jak mamy się organizować? Na jakiej płaszczyźnie winna się łączyć rozdrobniona lewica studencka? Czy terror jest dopuszczalny w walce z kapitalizmem? itd., itd.

Nie ma polemiki z filozofem. Czy brak ku temu przygotowania teoretycznego słuchaczy, czy też ich emocjonalny stosunek do Herberta Marcuse’a powoduje bezkrytyczne przyjęcie jego tezy?

Nagle zgrzyt. Głos zabiera jeden z naukowców uniwersytetu, zarzucając Marcuse’owi namawianie młodzieży do buntu. Sala podnosi się w świętym oburzeniu. Zaczynam obawiać się o skórę dyskutanta. Kończy się jednak na okrzykach i złośliwej ripostie H. Marcuse’a, wyraźnie ucieszonego z faktu znalezienia przeciwnika w miejscowym „establishment”.

Długo w noc toczyła się rozmowa studentów z filozofem. Wreszcie wychodzimy spoceni na ulicę. Sprzed uniwersytetu ruszają samochody i motorowery.

WITOLD GÓRALSKI

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Autor publikowanych na tej kolumnie wierszy należy do poetyckiego pokolenia 1960, gdyż na początek lat sześćdziesiątych przypada jego debiut tomem wierszy „Brzeg barwy”. Kolejno wydał: „Jesień z Judaszem”, „Stół” oraz „Jabłonkowe zebra”. Ma w swym dorobku także zbiór opowiadań „Świerszcze”. Twórczość Mieczysława M. Szargana, wielokrotnie nagradzana, m. in. na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi, cieszy się zasłużonym uznaniem krytyki literackiej w kraju.

Wielki przeciąg przewiał serce

PAMIĘCI JULIANA PRZYBOSIA

Wielki przeciąg przewiał serce
I jest teraz w sercu jak w białej sieni żałobnej
Chłodno i od pisku słonecznie
Żywi otwierają mu powieki i patrzą na ten wielki
Odginają palce i wyjmują z jego rąk siwą głowę
Potem biegną biegną z tą głową przez cały kraj
Pokazując na puste powietrze krzycząc żal żal żal
A w Gwoźnicy spod brudzy wiersza
Ze śmiertelnej komory serca
Z ziemniaczanego kwiatuszka
Wyfrunął
Skowronek

★ ★ ★

Stanąc za brzoza i żeby mnie nie było
Szum tylko wokół biało w miejscu
Tam gdzie kiedyś ręce — pazury zieleni
Oczy w ślepiach zagonionego losia
Jeżyny w nogi niech kółkami urosną
Żeby zając przy mnie nie tracił godności

Powiatowe miasteczko

Tu wszyscy się znają
Za życia kłaniali się sobie
Albo nie kłaniali
Okno w okno
Jedli tę samą sól poniedziałku
Do niedzieli popełniali grzechy
Aby u stołu dostąpić łaski pszennego oplatka

I właściwie nic się nie stało
A to że komuś stłukło się serce
A to że tamtemu zapaliło się drzewko płuc
A to że dziecko przychodząc na świat
Matkę zgładziło ze świata
Było tak oczywiste jak motyl na liściu

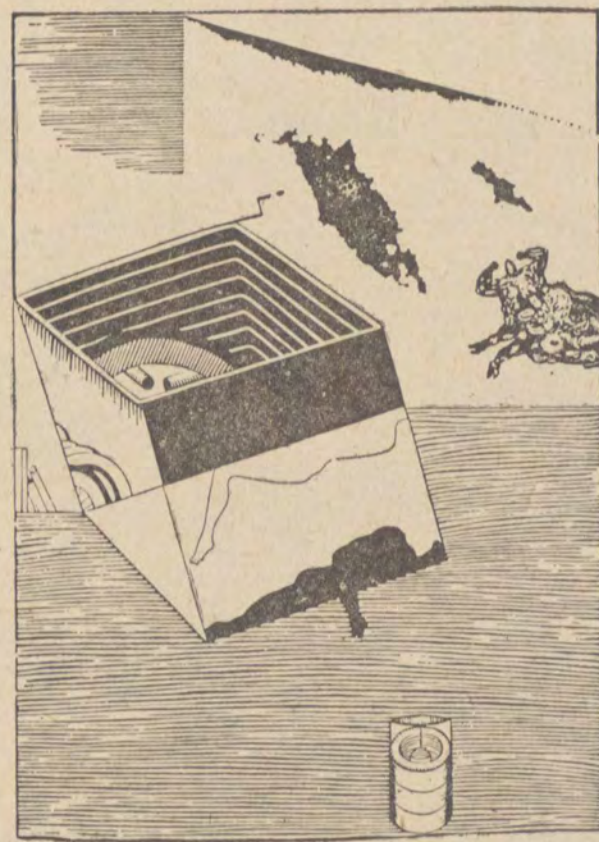
Bywają cmentarze miasta metropolie
Rozgałęzione milionokostne anioły
Wrosłe w zmarłych betonowymi stopami
Ten cmentarz jest powiatowym miasteczkiem
Z jaskółką kostnicy wlatującą w środek słońca

Żelazo

Wszędzie żelazo
Między różami i między ludźmi
Z ziemi wystają dymiące siarką blachy
Żelazo przedstawia ludzkie szczęście
Nie większe jak lepek gwoźdźcia
W agrestie leżą miski
Pękają emaliowymi płatkami jak białe kwiaty
Na żelazną kroplę deszczowej wody
Wskazówka na wieży zaczerwieniła czas
Zaraz zakwitnie ostatnią godziną
Wtedy zatrzasną się pułapki
I żelazo zacznie pić krew
Powietrze umrze na zawał serca

Klatka

Jest we mnie klatka
Żelazne pręty gniołą mi serce
No wejdź do klatki szepce głos
Płomienie naganiają mnie do środka
Ptaki przekonują i szturchają dziobami
Uwierz nam jesteś stworzony do takiego życia
No wejdź do klatki głupcze
Widzisz tę kostkę cukru to jest twoja wolność
Otwarte drzwiczki płoną jak zorza



Antoni Boratyński — „Noc bez księżycy” — linoryt

Książka

Dramat z niższych sfer?

Polska szkoła neoklasyków, która tak zaciążyła na obrazie naszej poezji w początkach lat sześćdziesiątych (choć nie należy do jej zwolenników, przyznać muszę), wniosła pewne ożywienie do literatury współczesnej: uprzytomniała nam mianowicie nośność pastiszu. Bowiem pastisz nie musi koniecznie być bezpłodną stylizacją, tępym naśladowstwem. Przykład neoklasyków dowodzi, iż świadome zagęszczenie stylu gatunków dawno już przebrzmiałych, wykreślonych z krwioobiegu kultury współczesnej, poprzez swoje manifestacyjne natężenie daje w ostatecznym rachunku nową syntetyczną jakość, na tyle jurną, iż nawet nie dopuszczamy do swojej myśli podejrzenia, że mamy tu do czynienia z procesem galwanizacji nieboszczyka.

To, co było możliwe w poezji, rzadko potwierdzało się w prozie, gdzie najczęściej mieliśmy do czynienia raczej z próbami adaptacji. Mam tu oczywiście na myśli sytuację w naszej literaturze współczesnej,

która usiłowała nawiązać kontakt z nowinkami prozy europejskiej. Dość mechanicznie przeszczepiano więc na nasz grunt tzw. czarny nurt literatury wraz z jego filozofią absurdu; później, gdy zdobyła sobie prawo obywatelstwa antypowieści, często pojawiały się na naszym rynku wydawniczym polskie odpowiedniki francuskiego nouveau roman.

Eugeniusz Iwanicki, autor, którego pragnę zaprezentować w tym omówieniu, wybrał w swojej czwartej z kolei książce, drogę zupełnie inną. Nawiązał bowiem do doświadczeń polskiej powieści obyczajowej, mieszczańskiej z lat dwudziestych, której takim mistrzem była choćby Pola Gojawiczyńska w swoich słynnych „Dziewczętach z Nowolipki”.

Nie jest to, powiedzmy od razu, aby wykluczyć wszystkie podejrzenia, mechaniczna adaptacja. Iwanicki niechętnie korzysta z prefabrykatów kulturowych i próbę jego trzeba raczej określić jako ambitny pastisz. Wziął sobie zapewne do serca uwagi wybitnego nazwcy tego nurtu literatury w naszym kraju, postępowego krytyka II Rzeczypospolitej, Stanisława Baczyńskiego, który w książce „Rzeczywistość i fikcja” stwierdzał: „Zadaniem literatury (...) nie jest sprowadzanie wszystkich przejawów życia ludzkiego do mianowników w wspólnych, lecz odwrotnie odkrywanie coraz to nowych powikłań i kombinacji, które na zasadniczej tkance natury ludzkiej w toku perypetyj wyrastają”. Toteż sięgając do dekalogu motywów powieści mieszczańskiej, Iwanicki tak modeluje sytuacje swoich bohaterów, aby owe powikłania maksymalnie rozbudować, czego rezultatem jest ich plastyczne uwyrażenie. Zabieg ten pozwolił na przenikliwe sportretowanie zwłaszcza głównej bohaterki powieści, Radosławy Mileckiej, która na

zasadzie alter ego autora oprowadza nas zarazem po tym obyczajowym zaciątku, jakim jest przedstawione w książce miasteczko Jarocin. Wspólnie z nią nienawidzimy szczerze tego zadupia, gdzie nawet szczotka do zamiatania podłogi jest z reguły „wytarta”, woda „mętna”, chodnik „o wyrwanych gdzieś niedługo płytach”, elewacja kamienicy „poczerwiała”, blurka „stara”, dracena „anemiczna i umierająca”, lawka „poczerwiała od starości”, kanonka „z podwiązaną drutem rurą”. Nawet „muzykanci sprawiali żałosne i śmieszne wrażenie”.

Ten koszmarny świat rzeczy i zwyczajów zagęszcza się wokół głównej bohaterki wywołując w czytelniku odruch protestu, co oznacza, że powieść nie chybiła swego głębokiego, ogólnoludzkiego celu. Złazcza, że ten mieszczański świat jest nie tylko koszmarny, ale i zbrodniczy, czego najlepszym dowodem nie rozumiejący bohaterki jej mąż, krawiec Gólab-Junior.

Ala przecież taki odruch niechęci wywoływały również powieści mieszczańskich humanistów, choćby wspomnianej już Gojawiczyńskiej, toteż Iwanicki zastosował w swojej książce istotne novum: kostium perspektywy. Demaskując bowiem świat strasznych mieszczańskich pragnień jednocześnie skompromitował model mieszczańskiej literatury. Bo trudno przypuścić, że traktuje opisywany przez siebie świat serio. Stawiając sobie takie założenie rozwinął je w fakty społeczne, na które składa się życie głównej bohaterki książki. Tę kontestację wobec mieszczańskiego modelu literatury uważam za sukces powieści, a zarazem jej autora.

Eugeniusz Iwanicki: „DZIEŃ PIERWSZY I NASTĘPNY”, Wydawnictwo Łódzkie 1972

KONRAD FREJDLICH

Książka

Te małe gnojki w nocy

„Te małe gnojki w nocy” — tytuł nieco szokujący, choć zapewne nie, aby epatować czytelnika, wybrał go Władysław Huzik dla swojej debiutanckiej książki. To pogardliwe określenie jest jednocześnie metaforą. Owe „gnojki” pogrążone w nocy smutnego dzieciństwa — to świat sierocińca, świat oschły i chłodny, bez czułości i ciepła.

Pisze jednak W. Huzik o tym świecie z czułością i ciepłem, ponieważ spisuje swoją własną biografię. Tak zwykle bywa, że pierwsza książka młodego autora jest zapisem najczęściej autobiograficznym. Jest to więc proza głęboko autentyczna, obserwacje czerpane z własnej pamięci.

Można wierzyć w prawdę książki Władysława Huzika i dobrze chyba się stało, że wydawcy poinformowali czytelnika na skrzydełku obwoluty (nawiasem mówiąc wyjątkowo niedobrej) o tych autobiograficznych źródłach.

Tym łatwiej będzie można wybaczyć rafa sentymentalizmu, graniczące o krok z jakąś zadziwłą próbą brutalizowania. Być może zresztą taki był zamysł autora, aby połączyć sceny ocierające się o kłiwosć ze scenami brutalnymi.

Powie ktoś — tak jest w życiu. To prawda, ale w literaturze nie zawsze tak być musi.

Nie o to więc można mieć pretensje do młodego autora. Bardziej razi mnie te partie książki, w których Huzik powraca do przyjaciół dziecięcej niedoli, już osadzonych w dorosłym życiu. Są to partie książki najslabsze, na polu reporiażowe, trochę w nich megalomanii... Ten „pan redaktor” wspominający dawne, trudne czasy, te nieco sztuczne dialogi — wszystko to rozbija mi strukturę książki.

Myślę, że Władysław Huzik, jak ten widz na meczu piłkarskim, który rzucając butelkę w sędzię, trafił w innego kibica — „chciał dobrać”. To znaczy rozumiem ten zamysł pokazania także po latach owych „małych gnojek”. Już nie w dziecięcej nocy sierocińca, ale w dorosły, normalny dzień. Rozumiem ten zamysł, choć nie sądzę, aby taki zabieg był książce potrzebny. Po prostu W. Huzik chciał za dużo w swojej książce zmieścić. Dorosłe losy „małych gnojek” to już inny temat na inną książkę. Myślę zresztą, że taką książkę Władysław Huzik kiedyś napisze.

Nie chcę prawić młodym autorowi i koledze komplementów w rodzaju, że książkę „się czyta”, że napisana jest warto, że ujawnia sprawność pisarskiego warsztatu... Tak jest w istocie, ale właśnie owa sprawność warsztatu, dar obserwacji i

własne doświadczenia predestynowały W. Huzika do napisania książki bardzo zwartej, bardziej jednolitej — słowem bardziej wstrząsającej.

Może tego rodzaju uwagi krytyczne wydadzą się komuś naiwnością, ale... „Te małe gnojki w nocy” wzruszają — to prawda, a powinien wstrząsać. Zbyt tragiczny i bolesny temat wybrał bowiem autor ze swej bogatej biografii, aby poprzestać tylko na wzruszeniu.

Zbyt jednak dobrze znam Władysława Huzika — jego pisarską pasję i upór — aby pozwolić sobie na konkluzję, że „jak na debiut jest to książka zupełnie dobra”. Wśród ostatnich debiutów książka na pewno się wyróżnia, lecz przecież mogłaby to być pozycja naprawdę znacząca — zwłaszcza, że autor odkrył przed literaturą teren prawie zupełnie dziewiczy. Pamiętam, jak przed laty wstrząsnął wszystkimi „Drewniany różaniec” Natalii Rolleczek, książka o innym czasie, innym sierocińcu i inaczej napisana, ale przecież o identycznej tematyce. Władysławowi Huzikowi nie talentu zabrakło, aby swoją książkę postawić w jednym rzędzie obok „Drewnianego różańca”, zbrakło chyba... perspektywy. Dlatego myślę, że do „małych gnojek” wróci jeszcze młody autor, aby opowiedzieć cały tragizm i chłód tamtych nocy.

Władysław Huzik „TE MAŁE GNOJKI W NOCY”, Wyd. Iskry, 1971.

JERZY WILMAŃSKI

Muzyka

LIPSKI MOZART

Niewiele dotychczas mieliśmy okazji do słuchania i oglądania dzieł Mozarta w naszym Teatrze Wielkim. Świetne przedstawienie „Così fan tutte”, potem „Uprowadzenie z seraju”, a w przyszłym roku „Czarodziejski flet”, to wprawdzie jak na nasz młody teatr niemale, ale przecież z bogatego dorobku genialnego kompozytora chciałoby się zobaczyć jak najwięcej.

Dlatego wizyta Teatru Operowego z Lipska (notabene naszych starych znajomych, bawiących w Łodzi po raz czwarty) z repertuarem mozartowskim („Wesele Figara” i „Uprowadzenie z seraju”), obudziła duże zainteresowanie. Wiadomo bowiem, że teatr ten, nie wyrzekając się wielkich pozycji repertuaru światowego, w pierwszym rzędzie kultywuje muzykę niemiecką, fundamentalne dzieła operowe wielkich mistrzów: Haendla, Mozarta, Wagnera. Wiadomo też, że dzieła te są wystawiane z wielkim pietyzmem i wiernością intencjom autorów, bez skrótów, których dokonują realizatorzy w innych krajach.

Tymczasem, jeszcze przed przedstawieniem, podczas konferencji prasowej, naczelny dyrektor teatrów lipskich, prof. K. Kayser, mówił o „Weselu Figara” „zdemontował” niejako tę operę. Mozart autentyczny? Niezupełnie. Raczej nowa, współczesna interpretacja mozartowska, która ma nie tylko bawić, ale również podkreślać polityczność tekstu. Sztuka rokokowa, ale i przeciw rokokowi, przeciw przesłodzeniu, lagodzeniu elementów społeczno-politycznych. Dlatego zapewne do opracowania scenografii zaproszono Karla von Appena z brechtowskiego Berliner Ensemble, dlatego pałac hrabiego Almaviva umieszczono w środku miejskiego rynku, a otoczone szarym murem symbolem.

Dlatego pokój podarowany przez hrabiego parze służących jest szary i smutny, jak szary i smutny jest cały kolorystyczny świat. Jest w tej scenografii coś z atmosfery brechtowskiego teatru. Ba, ale ten styl, który pasuje do treści brechtowskiego teatru, nie pasuje zaś do teatru mozartowskiego. I być może nie mam racji, ale wydaje mi

się, że uwspółcześnianie formy politycznej dzieł Mozarta jest nie tylko nie potrzebne, ale i niecelowe. A w ogóle śpiewanie należy chyba do najmniej skutecznych środków propagandowych i raczej należy mu pozostawić funkcje wychowawcze w dziedzinie estetyki, kultury, umuzykalniania. Chyba, że cele polityczne postawią sobie kompozytor i librecista.

Proces uwspółcześniania Mozarta odbywa się, na szczęście jedynie w sferze inscenizacji scenograficznej. Pozostaje nieknięta muzyka, pozostaje nieknięta muzyka. I tu spełniono nasze nadzieje na pełne pietyzmu i perfekcji wykonanie mozartowskiego arcydzieła. Już uwertura do „Wesela Figara” zapowiada ucieleśnienie muzyki, od pierwszych taktów oczarowując precyzyjnym wykonaniem, świetnym tempem, nieskazitelną czystością, lekkością, piękną barwą brzmienia. Doprawdy znakomita to orkiestra ten Gewandhaus. Prowadzona przez WOLFGANGA WAPPLERA, przez cały czas prawie 4-godzinne przedstawienie nie miała ani jednej „chwili słabości”.

Równie nienaganni byli soliści. Na pierwszy plan wysunęła się odważna i pełna energii Różyna, ELISABETH BREUL, znakomita śpiewaczka, jest jedną z najwybitniejszych odwołań do muzyki mozartowskiej. Europejska sława jej jest całkowicie uzasadniona. Piękny, czysty głos, poparty jest wielką muzykalnością i znakomitą techniką, doprowa-

dzoną niemal do perfekcji. Jej arie w I i III akcie to istne perły, takiego pianina nie słyszeliśmy już dawno. Drugim, wyróżniającym się solistą był odtwórca roli tytułowej, młody, u progu kariery stojący, baryton THOMAS THOMASCHKE. Dysponuje on dźwięcznym, pięknym, o szerokiej skali głosem, dobrymi warunkami zewnętrznymi, poczuciem humoru i — mimo krótkiego stażu — swobodą sceniczną. Głos o rzadko spotykanych możliwościach wykonawczych, kulturę i świetną technikę zaprezentowała RENATE HAERTEL jako Marcelina. W trójce głównych ról kobiecych najmniej podobala mi się MARGARET GRUND jako Zuzanna, aczkolwiek i ona pokazała wysoką klasę śpiewczą.

Na słowa uznania zasłużyli również wykonawcy pozostałych ról: REINER LUEDEKE jako hrabia Almaviva, RUTH ASMUS jako Cherubin, HELMUT EYLE jako dr Bartolo i EDGAR WAEHLTE jako Basilio. Dużą zaletą tego przedstawienia było naturalne, nie przerysowane aktorstwo i świeżość mimo, że „Wesele Figara” grane jest na scenie Opery Lipskiej od sześciu lat.

Natomiast „Uprowadzenie z seraju” jest jedną z najnowszych pozycji wprowadzonych na tę scenę. Tym razem potraktowano dzieło zgodnie z tradycjami singspielu, czyli swobodą, jako pretekst do dobrej, bezstroskiej zabawy, słuchania urokliwej muzyki. I znów ta sama, znakomita orkiestra, tym razem pod dy-

rekcją HEINZA FRITZKE, i znów można by powtarzać te same superlatywy co przy „Weselu Figara”. I od pierwszych taktów świetna zabawa. W nastrój pogodnej rozrywki wprowadza lekka, słoneczna scenografia, czyniąc punktem centralnym baśniowy nieco, w stylu tureckiego-rokokowym utrzymany, pałac baszy Selima. Dekoracje i rekwizyty przewidziane są głównie dla uzyskania efektów komicznych, jak choćby drzewo figowe z wyciętym na głowę Osmina otworem, czy z pluskiem wpadający do wody korybek, „odpływający na falach” za kulisy.

W kierunku zabawy prowadzi wykonawców reżyseria, której poddają się z dużym poczuciem humoru. Postać centralną tego przedstawienia jest niewątpliwie... Osmin. Sprawia to z pewnością indywidualność wykonawcy tej roli, MICHAELA LUDWIGA, jego wielka vis comica, urok osobisty i piękny, dźwięczny głos. Ten paskudny — w zamierzeniach libretta — staruch jest w lipskim przedstawieniu postacią budzącą sympatię widowni. W ogóle Turecy sympatycznie tu wypadli. Również Selim w swej mówionej roli, znalazł w osobie Achima Wicherta ogromnie ujmującego i przystojnego baszę.

W roli Konstancji wystąpiła HILDEGARD BONZIO — kulturalna wokalistka i aktorka, w roli Blondy zaś — młodziutka, debiutująca nadzieja Opery Lipskiej — HEIDRUN HALX. Po pokonaniu

tremy urodziwa artystka pokazała, że nadzieje z nią związane nie są bezpodstawne. WALTER SCHMIDT jako Belmondo, mniej miał okazji do popisów aktorskich, zaprezentował natomiast dobrą technikę i kulturę głosową. W roli Pedrillo oglądaliśmy EDGARA WAEHLTE, który już w „Weselu Figara” zwrócił uwagę dobrym głosem i talentem aktorskim.

W moich ocenach często powtarza się sformułowanie kultura wokalna. I nie jest to przypadek. Właśnie kultura wokalna, wysoka technika, umiejętność śpiewania jest u wszystkich solistów cechą charakterystyczną. Niezależnie od tego czy jest to głos wielki czy mniejszy, zawsze jest to głos znakomicie wyszkolony, osiągający maksimum swych możliwości wykonawczych. Nie ulega wątpliwości, że są to głosy stale kontrolowane i stale doskonałe. Włoski „pro domo nostra” nie do mnie należy.

„WESELE FIGARA” — kierownictwo muzyczne: Horst Gurgel, inscenizacja: Joachim Herz, dekoracje: Karl von Appen, choreografia: Marion Schurath.

„UPROWADZENIE Z SERAJU” — kierownictwo muzyczne: Paul Schmitz, inscenizacja: Joachim Herz, scenografia: Bernhard Schroeter, Teatr Wielki, występy Opery Lipskiej, 25-28. IX. 1972 r.

TERESA
WOJCIECHOWSKA

Plastyka

Świeczka i ogarek

Malarstwo Kazimierza Śramkiewicza wyrosło na owej przedziwnej żyznej, przedziwnie urodzajnej glebie polskiego koloryzmu, która wykarmiła nie tylko ogromną większość artystów średniego pokolenia, ale nadal jeszcze żywi i poi wielu z tych, co w służbie sztuce wstąpili w lata późnej. Do nadwiślańskiego koloryzmu można odnosić się różnie, można go lubić, albo nie lubić, można widzieć w nim chwalebnie zaklimatyzowanego przybysza z obcych stron, co z czasem stał się bardziej polski niż papierki papierki, ale nie sposób odmówić mu ogromnego zasobu sił witalnych, które zasilają non stop wyobraźnię malarzką artystów przez pół wieku bez mała i — co zdumiewa dziś musi najbardziej — nie zostały wyczerpane do końca.

Lekeje koloryzmu, a następnie świadome włączenie się w nurt burzliwej przebiegu nad nim dyskusji, miały dla Śramkiewicza miejsce w bardzo specyficznym, bardzo konkretnym punkcie na mapie artystycznej powojennej Polski. Ten punkt nosi dziś nazwę „szkoły spockiej”. Malarze, którzy z tej szkoły wyszli, do dziś chętnie nazywają się „malarzami Wybrzeża”. Fakt, że Śramkiewicz swą samodzielną i świadomą drogę tworzenia rozpoczął właśnie tam, nie pozostał bez wpływu na kształt jego malarstwa i tematykę jego obrazów. Stała się więc udziałem Śramkiewicza przede wszystkim ogromna umiejętność posługiwania się kolorem, jako podstawowym elementem budującym obraz, określającym formę, z których powstaje dyscyplino-

wana, syntetyczna kompozycja na ściśle określony temat, łatwo czytelny i — dający się również łatwo, gdy idzie o pejzaże, zidentyfikować.

Śramkiewicz należy do grupy Malarzy Realistów i eksponuje swoje prace na wystawach grupy w „Zachęcie”. Przynależność owa nie wynika wcale z samego faktu istnienia przedmiotów w jego obrazach, lecz z ich interpretacji artystycznej i interpretacji formalnej stosunków, jakie między nimi zachodzą. On sam określa to tymi słowami: „...miarą mojego realizmu jest nie to, że maluję konkretne przedmioty, ale to, że przedstawiam w swoich obrazach własną prawdę artystyczną o otaczających mnie realiach”. A więc idzie o próbę przekładu wizerunku otoczenia na język plam barwnych i form ułożonych na płaszczyźnie w pewnej harmonii i umownej, zgodnej z prawami określonymi przez samego artystę hierarchii.

Kolor określający formę, forma, która jest syntezą

rzeczywistego kształtu, układ form wyraźnie zaznaczający rytmy, rezygnacja z doświadczeń perspektywy przestrzennej, na koniec geometryzacja, sprowadzili malarstwo Śramkiewicza do rzędu malarstwa dekoracyjnego. Lecz kultura malarstwa, dojrzałość kolorystyczna oka, nasycenie malarzkiej tkanki sprawiają, że nie są to tylko dekoracyjne układy form i barw, bawiące swą estetyką. Śramkiewicz potrafił w swoich obrazach zatrzymać nastrój. Nie wyparł się poezji. Jego tematy muzyczne, wspomnienia koncertów, wariacje na temat instrumentów muzycznych, od których ktoś przed chwilą odszedł, lub które ktoś za chwilę ożywi dźwiękami — są tego najlepszym dowodem. Toż samo w jego pejzażach marynistycznych — Śramkiewicz maluje najchętniej portowe nabrzeża, scywilizowane betonowe plaże — pełne ciszy i spokoju. Lecz jest to cisza i spokój maszyny na moment tylko zatrzymanej, na jeden tylko krótki moment...

Na pozór oschle, zgeometryzowane kompozycje są więc w gruncie rzeczy peł-

ne poezji i refleksji. Ale owa poetyka jest bardzo wyciszona, a refleksje bardzo osobiste. I dlatego chyba obrazy Śramkiewicza niektórzy nazywają hermetycznymi. Nie ofiarowują one łatwo swych wartości. Wymagają cierpliwości i uwagi.

Innego typu wyobraźnię malarzką prezentują obrazy Weli Symonowicz (Warszawa). Bardzo kobiece i bardzo nierzeczywiste, bajkowe i naiwne. Artystka zajmuje się obok malarstwa ilustracją książkową, i ta działalność wywarła decydujące piętno na jej twórczości. Trudno mówić tu o problemach formalnych. To niefrasobliwe, nie zobowiązujące malowanie, albo się komuś podoba i wtedy może je sobie powiesić na ścianie — albo się nie podoba i wtedy więcej do tych obrazów się nie wraca. Na pewno większość płócien Weli Symonowicz mogłoby być wykorzystane jako ilustracje do jakichś bajek dla nie najstarszych dzieci. Ale tak między Bogiem a praw-

da, to lepiej dzieci takimilustracjami nie karmić.

Niewielką porcję wzruszeń artystycznych otrzymamy również na wystawie Tadeusza Kozłowskiego z Warszawy. Pejzaże, martwe natury, i portrety przypominają najgorsze partie z dorocznych wystaw grupy Malarzy Realistów w warszawskiej „Zachęcie”. Kozłowski zresztą jest jej aktywnym, jak się wydaje, członkiem. Takie obrazy są dziś doprawdy nie do oglądania! Aż dziw bierze, jakim cudem łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych takie „remanenty” zdobywa. Po ciekawej wystawie Kazimierza Śramkiewicza mamy więc dwa „kulturalne bubble” i to na dodatek z importu.

ANDRZEJ GRUN

Na marginesie wystaw: w Salonie Sztuki Współczesnej: KAZIMIERZA ŚRAMKIEWICZA — malarstwo, WELI SYMONOWICZ — malarstwo, TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO — malarstwo.

TELEWIZJA

Literatura a Teatr TV

Dzisiejszą rubrykę telewizyjną chciałbym prawie wyłącznie poświęcić spektaklom teatralnym w TV. Rozpocznę od przedstawienia z ub. tygodnia, które zirytowało mnie szczególnie. Ale po kolei... w II programie, wg książki Stanisława Brodzkiewicza, w reż. Jana Kobuszewskiego obejrzelismy „TRYPTYK SZKOCKI”. Tom opowiadał Brodzkiewicza p.t. „Taniec kogutów” to pyszna książka, tryskająca rubasznym humorem, pomysłowa, zabawna i w ostatecznej wymowie sympatyczna dla wykipianych Szkotów i Polaków. Autor kpi ze wszystkich, nikogo nie oszczędza ale widać, że ma do swoich bohaterów szczerą sympatię. Autorem widowiska udało się trafić w klimat

książki, zresztą wybrano najlepsze i najbardziej „telewizyjne” opowiadania; również dobór aktorów był bardzo trafny. O cóż więc pretensje i irytacja? Właśnie, zaprzeczono szanse na przykład udanego mariażu literatury i telewizji przez niechlujstwo i, jak się domyślam, pospiech. Po prostu wykonawcy nie znali dostatecznie tekstu. Sypali się koszmarnie nawet w dość krótkich monologach i scenkach. Aż wstyd człowieka było za tych poważnych skądinąd ludzi i pierwszorzędnych aktorów.

Dość dawno temu oglądałem w teatrze TV „Niemców” Kruczkowskiego. Ponieważ znalazłem tekst sztuki dość dobrze zastanowiły mnie pewne, niezręczne wypowiedzi, zbyt „współczesny” język. Sięgnąłem więc do biblioteczki i dalej śle-

dziłem spektakl zerkając do tekstu. I ogarnął mnie najpierw śmiech pusty a potem trwoga. Oczywiście Kruczkowski swoje, aktorzy swoje. Zastrzegam się, że nie były to jakieś skróty reżyserskie, to brałem pod uwagę. Po prostu aktorzy „swoimi słowami” opowiadali rolę, zgodnie z fabułą dramatu. Tyle, że tamte improwizacje były płynne i zgrabne, niezauważalne. Wzbudziło to we mnie podejrzenie o tak zamierzone postępowanie z tekstem. Jakoś tam się dogadamy, widzę w całości przekłnie, zadowolony, że obcuje z dziełem wielkiego pisarza. Tak było w wypadku „Niemców”. W „Szkockim tryptyku” pomyłki były żenująco widoczne, nawet przy najlepszej woli trudno się było nie zdenerwować, że to lekceważenie widza. Trudno mi odpowiedzieć co jest gorsze? Czy lekceważenie widza, czy wprowadzanie go w błąd? I jedno i drugie trzeba tępić. Ale najważniejsze jest, by twórcy filmowi, teatralni, telewizyjni czy radiowi zmienili swój stosunek do literatury. Dla nich jest to przeżawienie tylko materiał literacki,

tekst, tworzywo, pomysł, inspiracja itd. Zapominają, że to wszystko co tworzą jest nadal literaturą przełożoną tylko na inny język — obrazów, dźwięków, ruchu, barw. I jeśli już tej literaturze nie chcą być wierni to powinni mieć dla niej szacunek, szczególnie wobec nieżyjących artystów pióra, w obronie których nie ma kto zaprotestować. I tu trzeba sobie powiedzieć, że pewne zjawiska literackie są niemożliwe lub bardzo trudne do przełożenia na inny język artystyczny wypowiedzi. Można by na potwierdzenie podać wiele przykładów nieudanych zapędów translatorów.

Powieść L. Kruczkowskiego „KORDIAN I CHAM” na pewno nie należy do utworów „nieprzetłumaczalnych”, ale mimo to adaptacja najgłupsza. Mimo iż la. W istnym ostatnio festiwalu sztuk Kruczkowskiego była to niewątpliwie pozycja najgłupsza. Mimo iż S. Stampf (adaptacja) i J. Bratkowski (reżyser) zrobili obszerne, dwuczęściowe widowisko, co pozwoliło na swobodę manewru. A rozczarowało jako całość dlatego, że obok wielu scen

udanych znalazły się też sceny słabsze, oderwane od reszty.

I chociaż widowisko przekonująco przedstawia idee walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, to przekonanie nasze bardziej wywołuje lawina faktów, komentarzy, retoryka niż świadomość obcowania z wybitnym dziełem artystycznym. A przecież takim dziełem jest na pewno książka L. Kruczkowskiego.

Czy o Teatrze Sensacji można pisać jako o spektaklu teatralnym? Na pewno nie, ale pisać trzeba ze zbrojną nadzieją, że zgodny chór krytycznych głosów na temat naszej rozrywki w TV, coś wreszcie odmieni. Przedstawienie z ostatniego czwartku, „KIM JESTEM?” Patricia Quentina było bardzo kiepskie. Quentin to znany autor sensacyjny, ale tym razem popełnił rzecz znacznie poniżej swego normalnego poziomu. Jest to prawo autora, pisać lepsze lub gorsze utwory. Jednak obowiązkiem kupca, jeśli nie wstydy się nazwać kupcem jest kupować te „lepsze” czy najlepsze towary, a nie bubble z rewanentów.

Macie nas w Teatrze Sensacji zaciekawiać, straszyć, bawić, zadawać nam łamiągłówek umysłowe, wszystko możecie z nami robić, byle nie nudzić i nie traktować nas jak dzieci. A jeśli nie ma odpowiednich sztuk, to w ogóle zrezygnować niż pokazywać kłoty. Zawsze się na to miejsce (a przyzwyczajeni jesteśmy do emocji w czwartkowe wieczory) znajdzie jakiś film kryminalny. Wiercie mi, drodzy specjaliści od sensacji, że łatwiej strawić nie najlepszy film kryminalny niż przeciętną, zazwyczaj rozwlekłą, zlegraną i niedbalą reżyserowaną „Kobrac”. I myślę, że nie jest to tylko mój wyłącznie pogląd.

JAROSŁAW TARNO

P. S. Jedną z mitych (zapewne) Czytelnicek naszego pisma w liście do redakcji naskarżyła na mnie, że nie mam własnego stylu. Droga pani, to prawda. Ale niech pani zastanowi się choć przez chwilę i z ręką na sercu odpowie na pytanie: czy można mieć własny styl pisać co tydzień o czymś tak beztęlowym, jak nasza telewizja?

J. T.



MONIKA BOGUCKA

W POGONI za uciekającym czasem

Przypominanie, że „czas to pieniądz”, stało się obecnie bardzo modne. W różnych pismach można spotkać wielkie tytuły: CENA CZASU, a nasz rodzimy „Express Ilustrowany” ogłosił kolejny „DZIEN ZEGARA”. Podobno mi się to przypominanie o uciekającym czasie, bo nie chodzi tu o „czas indywidualny” — ko-

biety na ogół tego nie lubią, a o czas społeczny. A ponieważ marnujemy go jeszcze sporo i przy różnych okazjach, częściej patrzenie na zegar może nam się tylko stokrrotnie opłacić.

Zaproszono mnie kiedyś na „symposium o problemach osiedla”. Zważywszy, że nie na naradę, spotkanie,

dyskusję, ale — naukowo — na symposium. Miało się ono zacząć o godz. 17.

Przyszłam punktualnie, ale o 17.10 na sali było dopiero 12 osób plus specjalista od „nagłośnienia sali”, plus fotograf plus ja. Stolik zajmowaliśmy pojedynczo. Specjalista od „nagłośnienia” szepotał do mikrofonu. Uczestnicy symposiumu

rozglądali się niecierpliwie i z ciekawością po okolicznościowo udekorowanej sali gimnastycznej, bo na miejscach naukowych rozważań wybrano szkołę.

O 17.25 zjawił się drugi fotograf, ale początkowo symposium nie było jeszcze widać. O 17.30 na sali było już 50 osób i wtedy zapytałam panów z sąsiedniego stolika, czy nie wiedzą, na co czekamy? Nie wiedzieli. Moja niecierpliwość okazała się jednak zbyt duża, ponieważ o 17.31 symposium otwarto.

Z zagajenia wynikało, że, jak zwykle, zawiodła technika. I rzeczywiście. Z przemówienia przewodniczącego docierały do mnie tylko pojedyncze słowa: „Wycinek życia codziennego”, „pomoc”, „ukierunkować”. Na szczęście mikrofon jakoś się dotarł i już pierwszego referenta słychać było znakomicie.

Tematem pierwszego referatu były: „Społeczne potrzeby mieszkańców a organizacyjne możliwości ich zapewnienia na przykładzie osiedla A”. Mówca posłużył się wieloma liczbami, charakteryzując samorządność mieszkańców, przytoczył fragmenty regulaminu, a następnie zajął się bliżej pracą komisji kobiet. Fotograf zaczął błyskać fleszem. Panowie przy sąsiednim stoliku wymieniali poglądy.

„Komisja kobiet — mówił referent — powinna aktywizować kobiety”. Następnie postulował zwiększenie ilości trzepaków, sklepów, automatów i członków terenowego koła Ligi Kobiet.

Na sali było 15 pań. Dwie z nich wstały, wyszły i wróciły w płaszcach. Z otwartego okna wiało bowiem przenikliwym chłodem. Do pracy przystąpił fotograf drugi. Upozowałam się starannie.

Referent mówił o problemach działalności komisji społeczno-wychowawczej. Przedstawił kulturalne potrzeby mieszkańców jednostki społeczno-przestrzennej A-VII.

„Obserwuję się — mówił — duże zainteresowanie nauką angielskiego (16 osób), grą w badmingtona, grą na gitarze (7 osób) i na akordeonie (nieco mniej), grą w brydża (dużo). Kobiety chciałyby się uczyć kroju i szycia (czym referent był nieco zdziwiony), panowie chcieliby pływać i grać w koszykówkę. Wszyscy domagają się założenia dyskusyjnego klubu filmowego”.

Gdybym była na ich miejscu, domagałabym się raczej budowy klubu lub kina, ale to rzecz gustu.

Podczas omawiania podwójnej działalności dzieci, jeden z panów podjął męską decyzję i wspiął się na kaloryfer, aby zamknąć okno.

— Za krótki — powiedział pan od sąsiedniego stolika.

— Spadnie — dodał drugi. Sala się ożywiła. Referent cytował prof. Jana Szczepańskiego, a wszyscy patrzyli na pana zawieszono u okna. Fotograf zrobił mu efektowne zdjęcie.

W przerwie, kiedy podałam kawę, skorzystałam z okazji, aby zapytać organizatorów, czy nie sądzą, że społeczną działalność aktywów spółdzielczego powinni oceniać sami mieszkańcy, których na sali jakoś nie było widać.

— Symposium będzie rozklopotowane — wyjaśniono mi — dlatego nie mogliśmy zacząć bez techniki. Całość jest nagrywana.

Podczas następnego referatu fotografowie błyskali fleszami, a dwóch starszych panów za mną rozpoczęło dyskusję o problemach budownictwa.

— Sposobem tradycyjnym z cegły trzeba to postawić — stwierdził, a później zajęli się krytyką lokalizacji punktów. Widać było, że problemy więzi społecznych, które rozstrząsał mówca, były im zupełnie obojętne.

Po referatach przewodniczący symposium zaczął gorąco zachęcać zebranych do dyskusji. Panowie przy sąsiednim stoliku przestali roz-

mawiać. Zrobiła się cisza. Ktoś nerwowo chrząknął. I znów cisza.

Głos więc zabrał przewodniczący symposium i stwierdził, że rozwój społecznej działalności jest problemem szerszym. Jego dyskusyjną wypowiedź zgromadzeni przyjęli z należytym skupieniem i ciszą.

Przewodniczący postanowił dyskutować dalej. Przyznał rację milczącym, oświadczył, że są to sprawy poważne i trudne, a więc wymagają rozważenia się wokół i głębokiego przemyslenia. Następnie poprosił o wyciągnięcie wniosków i nadesłanie ich do spółdzielczego biuletynu, który wprawdzie nie ukazuje się systematycznie, ale tym razem ukaże się na pewno. Zamknięcie symposium zaprosił do udziału w następnym.

Mogłabym, oczywiście, przedstawić tutaj jakieś inne, równie naukowo pomyślane, a fatalnie zrealizowane zebrań. Wybrałam to, które mi najbardziej utkwiło w pamięci. Nie wymieniam ani organizatorów, ani uczestników, ani miejsca tego „symposium”, bo przecież nie o nie chodzi. Chciałam tylko pokazać, że mimo zalet premiera, aby jak najmniej obradować, a jak najwięcej pracować, mimo różnych wezwań i apelei, nadal uważa się u nas, że jeśli zwołamy naradę i wygłosimy ludziom kilka referatów, to już mamy załatwione dziesięć dziesiątych problemu. A przecież to nieprawda.

Skoro mamy uczyć się cennie czas, to powinniśmy sobie uświadomić, że polega to na maksymalnym wykorzystaniu przede wszystkim czasu pracy. Czas wolny damy ludziom na wypocinek i nie zabierajmy go zebrań. Sympozjami i naradami, które potrzebne są tylko dla statystycznych wykazów. A dla słuchaczy są niekiedy okazją do koleżeńskich spotkań. Czasem nawet do pamiątkowej fotografii.

Opowieści nie tylko fantastyczne



Od wieków wiele faktów i zjawisk z przeszłości naszej Planety zaprzętało uwagę nie tylko uczonych. Ludzie interesujący się tym, starali się znajdować wytłumaczenie dla tych faktów, w oparciu o aktualną im wiedzę. Ale niektóre do dziś pozostały bez żadnego wyjaśnienia. Oto, np. co znaczy werset ze Starego Testamentu?

„A Olbrzymowie byli na ziemi w one dni; bo gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, a one porodziły: ci są mocarze od wieku, mężowie sławni”.

Legenda o olbrzymach można spotkać nie tylko w Starym Testamencie. Basil Davidson w wydanej niedawno po polsku „Starej Afryce na nowo odkrytej”, pisze m. in.:

„Członkowie starożytnego plemienia Sao znad jeziora Czad (...) mają według legendy postać olbrzymów o potężnej sile; przypisuje im się zdumiewające wyczyny. Jedną ręką potrafili wstrzymać bieg rzeki, mieli głos tak donośny, że nawoływali się wzajem do miasta do miasta, a ptaki uciekały w popłochu, gdy któryś z nich zakaszlał. Wyprawy myśliwskie odciągały ich daleko od siedzib; w jednym dniu potrafili przewędrować setki mil, a ubita zwierzyna, słońce i hipopotamy, ci szczególnie myśliwi nosili bez wysiłku na ramionach...”

Legenda o olbrzymach można także znaleźć w mitologii greckiej. Nim jeszcze pojawił się człowiek, na Ziemi toczyły się już walki między bogami, którym pomagali w tym sturamenni, tytani i cyklopi. Dopiero Prometeusz ulepił człowieka z gliny i wody, a duszę temu tworowi dał wędrujący żywioł boski.

Kim byli i skąd wzięli się owi „Olbrzymowie”?

Jedno jest pewne. Żyli oni obok ludzi, tak zresztą jak bogowie, którzy ludzi uczyli posługiwania się ogniem, uprawiania ziemi i innych pożytecznych rzeczy. Mieli też potomstwo z ziemiankami. Posejdon, gdy otrzymał we władanie Atlantydę — pisze Ludwik Zajdler w swojej książce pt. „Atlantida”, cytując Platona — „osadził tam potomków swoich i jednej kobiety śmiertelnej”. Ta kobieta — śmiertelna, z którą związał się Posejdon i która powiła mu potomków, była Kleito córka jednego z ludzi, którzy się „tam na początku byli urodzili z Ziemi”.

Na tym nie koniec. Oto również w opowieści o zniszczeniu Sodomy i Gomory jest kilka zadziwiających momentów. Zaczyna się ona tak:

„I przyszli dwaj Aniołowie do Sodomy w wieczór, i gdy Lot siedział w bramie miejskiej. Który ujrawszy je, wstał i szedł przeciwko nim; i poklonił się twarzą do ziemi”.

Lot zaprosił ich do domu swego, gdzie ugościł. Dowiedzieli się o tym mieszkańcy Sodomy. Zgromadzili się przed domem Lot i domagali się wydania im Aniołów. Lot pragnął uratować gości, chciał dać tłumowi w zamian dwie swoje córki, „które jeszcze nie poznały męża; wywiodł je do was — mówił do zebranych — a czyście z niemi, jako się wam podoba”. Ale oni nie chcieli i „czynili gwałt Lotowi bardzo ciężko”.

„A oto wyciągnęli rękę mężowie i wwieśli Lot w dom do siebie, i zamknęli drzwi.

A one, które przed domem były, porażali ślepotą od najmniejszego aż do największego, tak iż drzwi znaleźć nie mogli”. Następnego dnia, skoro świt

wyprowadzili z Sodomy Lot i jego rodzinę.

„Tedy Pan dździł na Sodomę i Gomorę siarką i ogniem od Pana z nieba.

I wywrócił miasta te, i wszystkie wokół krainę; wszystkie obywatele miasta i wszystko, co się zieleni na ziemi”.

Zona Lot, która wbrew zakazowi odwróciła się i spojrzała na ginące miasto, zamieniona została w słup soli.

Zenon Kosidowski w „Opowieściach biblijnych” twierdzi, że „w ostatnich latach przeważa coraz bardziej opinia, że miasta te (Sodoma i Gomora — przyp. K. P.) istniały naprawdę. Lotnicy latający nad Morzem Martwym twierdzą, że dostrzegają ruiny jakiegoś miasta na dnie morza. Ale Zenon Kosidowski przyznaje katastrofę

że mieszkańcy Sodomy i Gomory byli z natury złymi ludźmi? I po trzecie — czym dysponowali Aniołowie, że mogli porazić zgromadzony tłum ślepotą? Na te pytania nie ma odpowiedzi.

O tajemniczych przybyszach, którzy wyróżniali się wysoką kulturą i dysponowali niezrozumiałą mocą i którzy uczyli tubylców różnych rzemiosł, można znaleźć w legendach niemal wszystkich kontynentów. Oto — pozostając jeszcze w kręgu kultury śródziemnomorskiej — kiedy Sir Henry Layard w połowie ubiegłego stulecia odkopał nad Tygrysem alabastrowy posąg, przybyły na miejsce szelk, oświadczył:

„Nie jest to dzieło rąk ludzkich, lecz tych niewiernych olbrzymów, o których Prorok —

Olbrzymy

i zagłady Sodomy i Gomory upatruje w kataklizmie geologicznym. Jego zdaniem legenda o obroceniu żony Lot w słup soli powstała znacznie później. W okolicach Morza Martwego są liczne zwaly kamiennej soli, które pod wpływem czynników atmosferycznych przybierają różne postacie, w tym i ludzkie.

Ale to wszystko nie nie wyjaśnia.

Po pierwsze — po czym tak łatwo poznano Aniołów, bo chyba nie po tym, że mieli skrzydła. Po drugie — dlaczego istniała tak wielka nienawiść do nich, że aż chciano ich zniszczyć? Byli przecież wysłannikami Pana. Czy tylko dlatego,

pokój niech będzie z Nim — powiedział, że byli więksi od największego drzewa palmowego; oto jeden z idoli, które Noe — pokój niech będzie z nim — przeklął jeszcze przed potopem”.

Ala przenieśmy się na drugą półkulę. Wysoko w Andach, nad jeziorem Titicaca pojawił się biały bóg — Wirakocza. Był on nauczycielem zdrowych i lekarzem chorych. Rozżalony grzechami ludzi, odszedł od nich, oblecując powrócić. Białym, brodatym bogiem był też Ketzaikoał — bóg Azteków. Przybył on na skrzydlatym statku z kraju wschodzącego słońca. Również opuścił Indian, zapo-

władając swój powrót. Te legendy o białych bogach, którzy mieli powrócić, rozpowszechniła szeroko wśród Indian, pozwoliły później hiszpańskim zdobywcą, bardzo łatwo podbić ten kraj.

Ludzie, zajmujący się zagadką Atlantydę, dość łatwo wyjaśniają nagle objawienia się „białych bogów”. Są to — według nich — atlantydzcy podróżnicy. Można z tym się zgodzić, jeśli przyjmiemy, że Atlantida istniała naprawdę. A co do tego nie ma przecież żadnej pewności.

Można też posłużyć się inną hipotezą. Pozornie zupełnie karłowatą, która jednak coraz częściej pojawia się w różnych wypowiedziach. Powodem są pewne skojarzenia współczesnych akcesoriów ery kosmicznej z pewnymi zabytkami przeszłości. Pomijam tu freski, na których dostrzeżono aureole świętych, przypominające dzisiejsze helmy kosmonautów. Chciałbym posłużyć się natomiast innym przykładem.

Na Saharze np. znaleziono pokryte piaskami płyty, które niektórzy skłonni są uznać za prehistoryczne... lotnisko. W 1935 roku lotnicy peruwiańskich linii lotniczych, latając nad pustynią, odkryli na obszarze kilku kilometrów kwadratowych, figury geometryczne, układające się w ciemniejszych pasów gruntu. Po zbadań teren u okazało się, że utworzone je ze ściśle zbitego ciemnego żwiru, który na dodatek utrzymywał się przez wieki. Zdaniem archeologów owe tajemnicze znaki miały ludowy kultury Nasca ułatwiać obserwacje astronomiczne. Być może, ale przecież figury te i linie są widoczne dopiero z dużej wysokości. Nie ulega natomiast wątpliwości, że

owe linie mają związek z astronomią.

Zadziwiająca jest właśnie to, że wszystko, co z naszej przeszłości zostało jeszcze wyjaśnione, prawie zawsze ma związek z astronomią. I na dodatek poziom takich budowli czy urządzeń stoi w rażącej sprzeczności z poziomem kultury ludów z terenów, na których powstały. Np. tak wysoko przez nas cenił starożytny Egipcjanin mieli kalendarz, nie przystosowany do ich warunków geograficznych, acz podobny do kalendarza Mayów. Ale w Egipcie kapłani wymuszali przysięgę od każdego nowego faraona, aby nie zmienił obowiązującego kalendarza.

Na tych wątpliwych podstawach powstała hipoteza o kosmicznej kolonizacji Ziemi. Można teraz puścić wodze fantazji i stwierdzić, że przed wiekami wyładował tu statek kosmiczny, który na skutek awarii nie mógł powrócić na swoją macierzystą planetę. Jego załoga posiadająca ogromną wiedzę i znakomite wyposażenie techniczne, zmuszona została do pozostania na Ziemi. To właśnie byli owi bogowie i olbrzymi. W miarę upływu czasu tracili nadzieję i urządzenia i musieli tworzyć nowe, posługując się ziemskim tworzywem. Oni też wiele nauczyli Ziemiaków. Nie ułubiła to w niczym Ziemiańcom, którzy z wdzięczności miłowali ich swymi bogami i na zawsze utrwalili w legendach, mitach i podaniach.

Czy tak było istotnie? Na to pytanie trudno będzie odpowiedzieć. Ale pofantazjować zawsze można.

KRZYSZTOF
PORĘBSKI

Polityka na świecie

GIGANT NAD KAMĄ

„L'HUMANITE” — PARYŻ

Podróżując po Związku Radzieckim raz po raz przekonywałem się nacalnie, że jest to kraj burzliwie rosnącej potęgi przemysłowej. Ale dopiero w Tatarii (Tatarska Autonomiczna SRR — red.) dziewięćset kilometrów na wschód od Moskwy, zrozumiałem, że jest ona wykładnikiem nowego, wyższego poziomu rozwoju ekonomiki radzieckiej, która pozwala Związkowi Radzieckiemu na realizację zamierzeń o wprost niebywałym rozmachu.

Tutaj, w tym zacofanym niegdyś rejonie rolniczym, na brzegach rzeki Kamy, dopływ Wólgi, powstają największe w świecie zakłady budowy samochodów ciężarowych. W założeniach tego gigantycznego projektu, który się zaczął urzeczywistniać w 1969 roku, postawiono przede wszystkim na technikę, czas i ludzi.

Przypadek zdarzył, że generalnego dyrektora zakładów samochodowych „KamAZ” poznałem w samolocie, na trasie Moskwa — Kazań. Lew Wasiljew powracał właśnie z Paryża, gdzie prowadził rozmowy z ekspertami firmy „Renault”, która dostarcza część urządzeń dla fabryki nad Kamą. „Gdy w Nadbrzeżnej Czelnach rozpoczęły roboty, cała miejscowość wyglądała tak” — jego palec wskazywał na przesuwaną się pod samolotem równinny krajobraz, znaczone szarymi plamami lasów.

Prawdę mówiąc, zakłady zaczęto budować nie na pustkowiu. Czelnij — miasto nad brzegiem Kamy — liczyło trzydzieści tysięcy mieszkańców. Jednakże przemysł miejscowy reprezentowała zaledwie jedna, i to niewielka, fabryka włókiennicza. I właśnie tutaj postanowiono wybudować zakłady o unikalnej wielkości produkcji: 150 tysięcy samochodów ciężarowych, o nośności od 8 do 12 ton oraz 100 tysięcy silników Diesla. W ciągu roku!

NOWE METODY PRACY

Zdumiewa nie tylko rozmach tego zamierzenia, lecz także stosowane metody pracy. Proszę tylko pomyśleć: budowę rozpoczęto w drugiej połowie 1969 roku. Pierwsze samochody wyprodukują zakłady już w 1974 roku! Niekiedy zachodni specjaliści odnoszą się do tych terminów bardzo sceptycznie.

„Musimy dotrzymać tych terminów, żeby tam nie wiem co” — mówi Wasiljew. — „Jest to sprawa państwowej wagi”. Problem wyboru miejsca na budowę nowych zakładów samochodowych był dyskusyjny dość długo i na najwyższym szczeblu. Na wiadomość, że decyzyja o budowie fabryki już zapadła, z republik i okęgów zaczęły napływać liczne oferty na wykonanie projektów. Jest

to zrozumiałe, ponieważ budowa tak ogromnego obiektu przemysłowego stymuluje rozwój ekonomiczny całego rejonu. Po rozpatrzeniu około siedemdziesięciu wariantów, wybór Gosplanu i rządu padł na Nadbrzeżną Czelnij. Położone w Tatarii, we wschodniej części Rosji Europejskiej, znajdują się nieomal w samym centrum Związku Radzieckiego. Jest to nader korzystne z punktu widzenia dostaw surowców i urządzeń. Bliskość Kamy i Wólgi pozwala, w okresie pięciu, sześciu miesięcy w roku, na eksploatowanie taniego transportu wodnego. Istnieje też tutaj wiele źródeł energii elektrycznej.

Poza wielkością, zwracają uwagę także i inne osobliwości tej inwestycji nad Kamą. Z reguły, budowę każdej fabryki poprzedza opracowanie szczegółowego, gruntownie przemyślanego planu budowy oraz technologii produkcji. Tutaj natomiast, po przyjęciu podstawowych elementów projektu, plany budowy i odpowiedzialną technologię opracowuje się już w toku robót.

„Nie można pracować po staremu” — mówi Lew Wasiljew. — „Jak będziemy czekać na szczegółowe opracowanie planów, przewidywane urządzenia będą już przestarzałe, a same zakłady przestaną odpowiadać współczesnym wymagom, zanim jeszcze wejdą w stadium budowy. A my chcemy, żeby „KamAZ” był ultranowoczesnym zakładem budowy samochodów”.

Taka metoda budowy kryje w sobie pewne ryzyko i wszyscy o tym wiedzą. Jednak z podstawowych trudności polega na tym, że pewna ilość urządzeń kupuje się za granicą.

Z firmą „Renault” zawarto umowę, przewidującą dostawę urządzeń na ogólną sumę 1 miliarda 200 milionów franków. W ramach francusko-radzieckiej współpracy zanoszą się na podpiśnięcie całego szeregu kontraktów, które poddano uprzednio najbardziej dogłębniemu studium. Do dnia dzisiejszego podpisano umowy na sumę 250 milionów franków. Obecnie pro-

wadzi się rozmowy w sprawie zawarcia kontraktu na dostawę urządzeń spawalniczych.

Wielu dostawców i ogromna ilość materiału wymagają niesłychanie precyzyjnej koordynacji działania. Problemy zarządzania są więc przedmiotem burzliwych narad u kierownika budowy elektrowni wodnej i fabryki, zastępcy ministra energetyki i elektryfikacji — I. Iwanowa.

PRZED WSZYSTKIM CZŁOWIEK

Dążenie do wygrania walki z czasem odczuwa się wszędzie, na każdym kroku. Na przykład zaniesiano tutaj używania płyt betonowych do budowy fundamentów. Tradycyjna metoda wymagałaby głębokich wykopów w ziemi i układania płyt betonowych, na których stawia się filary. Przewidywały to pierwsze projekty. Chcąc je zrealizować, trzeba by jednak wykopać około stu milionów metrów sześciennych ziemi. Kierownictwo budowy szybko doszło do wniosku, że idąc tą drogą nie uda się dotrzymać terminów. Postanowiono więc wierceć otwory w ziemi, wlewać w nie beton i w nim umacniać filary. Wyniki mówią same za siebie: tempo robót zwiększyło się w dwójnasób, wyeksplorowano także duże rezerwy siły roboczej.

Wszystkie odpowiedzialne osoby, z którymi udało mi się rozmawiać, podkreślały niejednokrotnie, że decydującą rolę w wykonaniu zakreślonych zadań odgrywają ludzie. Wiele zależy od ich świadomego udziału w realizacji tego wielkiego zamierzenia. Obecnie nad Kamą pracuje pięćdziesiąt tysięcy ludzi, w końcu roku będzie ich pracowało siedemdziesiąt tysięcy. Sprawne zorganizowanie pracy na tym gigantycznym placu budowy nie jest sprawą łatwą.

Rais Bielajew, pierwszy sekretarz miejskiego komitetu partii, przyjął mnie w swoim gabinecie. Całe jego życie — to nie kończące się problemy, duże i małe, ale zawsze wymagające bez-

zwłocznych rozwiązań. Kilka z nich rozstrzyga w mojej obecności. Spokój, stanowczość, nieustępliwość — to styl pracy Bielajewa. Kandydat nauk ekonomicznych, był pierwszy sekretarz Tatarskiego Obwodowego Komitetu Partii — Rais Bielajew, Tatar z pochodzenia, reprezentuje generację odpowiedzialnych pracowników, których wiek waha się między 30 a 40 rokiem życia.

„Dla romantyki miast namiotowych, bez których nie do pomyślenia byłoby wybudowanie Bratkiej Elektrowni Wodnej i zagospodarowanie dziewiczych terenów, dla takiej romantyki nie ma u nas miejsca — mówi Bielajew. Wystarczy, że ludzie muszą pokonywać trudności w czasie pracy. Możemy, i powinniśmy, stworzyć im jak najlepsze warunki życia”.

Wszystko przewidziano tak, by robotnicy mogli tu osiąść na długo. Równoległe z fabryką rośnie nowe miasto. Do 1 stycznia 1971 r. Nadbrzeżna Czelnij liczyła 53.900 mieszkańców, po upływie roku mieszka tu już 100 tysięcy ludzi. W 1975 roku liczba mieszkańców miasta wzrośnie do 200 tysięcy. Budowa nowego miasta stanowi drugi front prac budowlanych nad Kamą.

Na budowie „KamAZ” pracują przedstawiciele czterdziestu dwóch narodowości.

Dlaczego przyjeżdżają tutaj ludzie? Na te niezagospodarowane tereny, gdzie nie ma tak zwanych „dobrych warunków bytu”? Niekiedy przyciągają wysokie zarobki, ale ogromna większość kieruje się chęcią udziału w dziele o tak niesłychanym rozmachu, które daje możliwość spożytkowania energii z maksymalną korzyścią.

ROMANTYKA MASZYN

Na budowie działa swego rodzaju „uniwersytet pracy”. Ci spośród przybyłych, którzy nie mają kwalifikacji, lub pragną zmienić zawód, przechodzą trzymiesięczne przyspieszone kursy zawo-

dowe. Słuchacze otrzymują stypendium.

Jednym z aspektów tej budowy, najbardziej godnym uwagi, jest stworzenie warunków do stałego wzrostu liczby fachowych kadr pracowników. Jednocześnie w innych centrach radzieckiego przemysłu samochodowego przechodzi aktualnie przeszkolenie fachowe dalszych pięć tysięcy robotników.

Określenie: „przechodzą przeszkolenie”, należy rozumieć w najszerszym tego słowa znaczeniu. Pokonywać trudności, rozwiązywać nieoczekiwane problemy muszą wszyscy, od dyrektora do zwykłego murarza. Niezbędna jest inicjatywa, umiejętność podjęcia właściwej decyzji bez odwołania się na „zalecenia odgórne”.

Nie należy sądzić, że aktywność i inicjatywa mas wyzwalają się spontanicznie. Wielką rolę odgrywają tutaj: partia, Komsomol, związki zawodowe. Nie na darmo ich aktywność należy do liczby najlepszych pracowników, którzy osiągnęli najwyższy poziom wydajności pracy. Wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba natychmiastowego działania.

I tak oto, w dalekim zakątku Tatarii, kształtują się śmiały, twarde, wykształceni ludzie. Szczególnie ważne jest to ostatnie. Określenie, że „romantyka namiotowych miast umarła” nie oznacza wyroku na romantykę w ogóle. Na pierwszy plan wysuwa się teraz umiejętność rozwiązywania skomplikowanych zadań przy użyciu najbardziej nowoczesnych osiągnięć techniki. Związek Radziecki rośnie w potęgę. Romantyka łopaty i kilofa pierwszych pięciolatek ustąpiła miejsca romantyce maszyn.

Pytałem robotników, komsomolców, kierowników brygad, jak rozumieją współczesną romantykę. Ich odpowiedzi sprowadzają się do jednego: „Czuć się niezbędnym”.

J. CZECH

Kultura na świecie

STARY CZŁOWIEK Z OLBRZYMIMI SKRZYDŁAMI

Był pisarz, który po mistrzowsku z zadziwiającą łatwością przechodził od opisu zjawisk konkretnych i realnych do fantastyki. Osiągał przez to zdumiewające trafne i wyjątkowe sylwetki ludzi i ich zachowań. Nazywano go czarodziejem, bowiem posiadał cudowną zdolność przemieniania zwykłych, codziennych spraw w bajkowe, a bajkowe w codzienne. Posiadał przy tym duże poczucie humoru i niezwykły dar obserwacji. Pisarzem tym był zmarły w roku 1967 Francuz, Marcel Aymé.

Pisał o malarzu Lafleur, który tworzy obrazy tak cudowne, że kto je ogląda jest syty, pisał o pewnej mieszkance Montmartre'u, pięknej Sabinie, która posiadała dar wielokrotności siebie. Cokolwiek przeżywała jedna z wielu Sabin, przeżywały to wszystkie. Ich liczba doszła

wreszcie do osiemdziesięciu tysięcy rozrzuconych po całym świecie. W innym opowiadaniu Marcela Aymé pewien skromny urzędnik bankowy zauważa ze zdumieniem, że ma niezwykle dar przenikania z łatwością przez ściany i mury. Najpierw straszy tym swego szefa, a potem zabiera się do okradania banków. Aż pewnego dnia grzeźnie w murze, tracąc nagle cudowne właściwości.

Twórczość Aymégo przypomina się nieodparcie przy czytaniu innego pisarza, pochodzącego z dalekiej Kolumbii i piszącego w języku hiszpańskim, Gabriela Garcíi Márqueza. Oto spokojna, biedna rodzina karaibská, żyjąca na wsi, nad brzegiem morza. Nie ciekawego nie dzieje się w jej życiu. Ale pewnego razu zdarza się coś nieoczekiwanego. Przeczytajmy, od czego się to zaczęło:

„W trzecim dniu deszczu zabili tyle krabów, że Pelajo musiał brodzić przez zalane wodą swoje tylnie podwórze, by powrócić do domu. Niemowicie gorączkował przez całą noc i wszyscy byli przekonani, że przyczyną tego jest odór padliny. Świat był ponury od wtorku. Niebo i morze stały się jedną szarością barwy popiołu, a piasek plaży, który w marcu skrzył się jak rozżarzony żelazo, zamienił się teraz w kaszkę ze szlamu i zmuszających muszli morskich. W południe światło było tak nienagannie, że Pelajo wracając po wyrzuceniu krabów, z trudem tylko rozróżniał to co się ruszało i pojeżdżało w głębi podwórza. Musiał podejść bardzo blisko by zobaczyć, że jest to stary człowiek. Leżał twarzą w błocie i mimo ogromnych wysiłków nie mógł się podnieść, ponieważ przeszkadzały mu w tym jego olbrzymie skrzydła.”

Przerazony tym widokiem Pelajo pobiegł po żonę, Elizende, która akurat robiła dzieło okładki i zaprowadziła ją w głąb podwórza. Oboje przypatrywali się leżącemu cisi i przerażeni. Ubrany był jak szmaciarz. Na jego łysiej głowie widniały pojedyncze kosmyki włosów, w ustach pozostały mu jedynie nieliczne zęby, a jego opłakany stan przemokniętego ciała staruszkę odierałmu jakakolwiek godność. Jego wielkie, sepie skrzydła całkiem już opadły, tarzały się w błocie brudne i postrzępione.

Przypatrywali mu się długo i uważnie otrząsnąwszy się wreszcie z osłupienia. Odważyli się do niego odez-

wać, a on im coś odpowiedział w nieznanym narzeczu lecz mocnym głosem marynarza. Nie zastanawiając się dłużej nad osobowością posiadania przez owego człowieka skrzydeł, wywnioskowali, że jest to samotny rozbitek zaginionego gdzieś w sztorcie zagranicznego statku. Mimo to zawołali sąsiadkę, która znała się na wszystkim co się tyczyło życia i śmierci, by go zobaczyła. Wystarczył jej jeden rzut oka, aby oboje mogła wyprowadzić z błędów. „To jest anioł”, powiedziała. „On z pewnością przyszedł po dziecko, ale biedak jest tak stary, że deszcz go zwałił.”

Kim był ów dziwny przybysz podobny do starego człowieka z olbrzymimi skrzydłami? Nie umiał tego rozstrzygnąć nikt, nawet miejscowy proboszcz, który stwierdził, że aniołem ów stwor nie jest gdyż nie rozumie po łacinie i żadnej natury anielskiej nie przejawia, nie będąc jednak pewnym, proboszcz nie wypowiedział się jednak definitywnie na temat istoty owego człowieka czy też być może innego stworu. Opisze więc całą sprawę biskupowi, ten zaś zapewne zwrócił się do Rzymu. Trzeba więc poczekać na ostateczną odpowiedź. Tymczasem ksiądz, korzystając z okazji wygłosił kazanie przestrzegające ludzi przed szatanem i moralnym upadkiem. Człowiek ze skrzydłami pozostał na podwórzu u Pelajo, który za oglądanie dziwnego stworu zaczął pobierać odpłatnie. Ludzie ścigali zewsząd, nawet aż z Martyniki, by obejrzeć dziwnego przybysza. Pelajo i E-

lizenda wzbogacili się. Ich sypialnia pełna była teraz złota. Wybudowali sobie nowy dom, wspaniały, dwupiętrowy z balkonem, otoczony ogrodem, zabezpieczony siatką aby w nim kraby nie odwiedzały ich posiadłości. A człowiek ze skrzydłami? Stracił wreszcie na popularności, odtąd w okolicy pojawiło się jeszcze ciekawsze monstrum — olbrzymia tarantula z głową smutnej dziewczyny. Opowiadała swą żalną historię. Była normalną dziewczyną, ale kiedyś wymknęła się ukradkiem, bez wiedzy rodziców na bal. Przetańczyła wesoło całą noc, a gdy rano wracała do domu uderzył grom zamieniając ją w pajaka. Ona to teraz obwołana po całym kraju przyciągnęła ciekawość tłumów. Zaś człowiek ze skrzydłami stał się już niepotrzebny. Wzięła się stary i chorowity po obejściu Pelajo, włożyła się po domu, drażniąc tym jego właścicieli. W jego losie nie się nie odmiennie. Tyle że przed tym siedział za drucianą siatką, teraz może spacerować do woli. Ale nadchodził jednak dzień, że stary i chorowity człowiek ze skrzydłami odzyskuje powoli siły i upierzenie. Podrywa się do lotu. Leci, wzbija się w niebo. Elizenda patrzyła za nim długo, aż wreszcie zmienił się w maleńki punkcik na horyzoncie nieba.

Opowiadanie o starym człowieku ze skrzydłami jest pierwszym z siedmiu opowiadań wydanych w języku hiszpańskim pod tytułem „Niewiarygodna i smutna historia dziecięconajwnej Eréndiry i jej bezlitosnej babki”, Gabriela Garcíi Márqueza,

Pisarz urodził się w roku 1928 w kolumbijskiej wiosce Arataca. Studiował prawo, potem pracował jako dziennikarz. Obecnie mieszka przezwadnie w Barcelonie. Jako pisarz debiutował pięć lat temu zdobywając rozgłos i uznanie powieścią napisaną w języku hiszpańskim pt. „Cien años de soledad” (Sto lat samotności). Są to refleksje nad specyfiką Ameryki Łacińskiej i barwna kronika z życia mieszkańców wsi Macondo położonej w tropikalnej strefie Południowej Ameryki.

Gabriel García Márquez wprowadza nas swą twórczością w egzotyczny świat karaibski. Karaibi (lub Karaibowie) to Indianie Ameryki Południowej. Jest ich około stu pięćdziesięciu tysięcy, a zamieszkują głównie w Wenezueli, Kolumbii i Brazylii. Cechuje ich m. in. zachowanie wielu dawnych, nieraz prastarych zwyczajów.

Opowiadania Márqueza napełnia wprost od powieści, mitów i baśni Karaibów przemieszane są z zaskakującymi realistycznymi opisami życia i choć we wszystkich dziełach się cuda lub zdarzenia wyglądające na cuda, odzwierciedlają przecież zwykłą i powszednią ludzką biedę. Pisarz, świetny obserwator charakterów, bez złudzeń, z zacięciem satyryka i nieraz humorysty, rysuje pełnokrwiste portrety swych karaibskich bohaterów.

JANUSZ
SKOSZKIEWICZ

PRZECIECZNOŚĆ

Z KRAINY LEGENDY...

Legenda i rzeczywistość — dylemat, którego historykowi ominąć nie wolno. Chyba, że zgodzi się zapłacić za to wysoką cenę: sprzeniewierzenia się swojemu podstawowemu obowiązkowi poszukiwania prawdy. Albo, kiedy zrezygnuje z ambicji podejmowania zagadnień społecznie ważnych i zdecydowanie się pozostanie na ich obrzeżu, bez dotykania ich samych. To ostatnie nie jest bynajmniej rzadkie. Dowodem rozplenienia się, także w naszym piśmiennictwie historycznym swoistego dyrdymalizmu, bezkontrowersyjnego i bezkonfliktowego, a jednocześnie i bezproblemowego, tyle, że arcywygodnego zarówno dla autorów,

jak również — co tu ukrywać — dla wydawców. Krytyczna weryfikacja legendy czy mitu, leżąca przecież w kregu podstawowych obowiązków historyka, nigdy, nie tylko dzisiaj, nie była zabiegiem łatwym. Nie chodzi tu oczywiście tylko o trudności historycznego warstwu, odnalezienia źródeł itd. Są one przede wszystkim innej rangi. Wynikają ze struktury samego badawczego zagadnienia i z naszedo doń stosunku: cechą mitu czy legendy jest bowiem społeczne funkcjonowanie, które nie zezwala na znalezienie się poza jego zasięgiem. Dotyczy to również historyka-badacza.

Legenda i rzeczywistość —

historyk może atakować problem co najmniej w dwojaki sposób. Dawniej, w dobie fascynacji nauki historycznej wzorcem dyscyplin przyrodniczych i związanych z tym wiary — jak dzisiaj sądzić naiwnej — w możliwości uzyskania w historycznym badaniu takiego samego stopnia dokładności, jaki osiągają „naturaliści”. Zdało się, że wystarczy po prostu postawić pytania: czy naprawdę było tak, jak powiadają? Dzisiaj, kiedyśmy sobie uświadomili obszerną sferę pozaźródłowych i pozawarsztatowych warunkowań nie tylko zresztą historycznego poznania, kiedyśmy zrozumieli, że nie dzieje się ono w społecznej

próżni, że nie jest wreszcie jednorazowym aktem, ale procesem, takie postawienie sprawy nam już nie wystarczy. Zadajemy sobie więc i inne pytanie: jakie czynniki sprawiły powstanie i rozwój mitu czy legendy? Historykowi podają tu w sukurs psychologia społeczna i socjologia, a jego badanie dokonuje się w „integracji” z pokrewnymi naukowymi dyscyplinami. Powtarzam: dzisiaj nie wystarczy stwierdzić, co zresztą nie przestaje być ważne, że legenda w taki czy inny sposób deformuje dziejową prawdę, ale także należy wyjaśnić, dlaczego powstała, jakie były społeczne uwarunkowania jej narodzin i rozwoju.

Jak z tego wynika, historyk zabiera się do weryfikacji legendy zupełnie inaczej, niż to niegdyś czynił u nas Boy, w swoich głośnych bojach z brązownikami, czy jego niezbyt udolny naśladowca Zbyszewski, rozprawiający się z Niemcewiczem. Wbrew wszystkim, których urzekło pióro i legenda Boya, boyowską tradycję ocenia w tym względzie za szkodliwą, bo nie pozwalającą na ogarnięcie zjawiska w całym jego skomplikowaniu. Twierdził tak nie dlatego, że pisarz ośmielał się proponować weryfikację drogiego sercu mitów, ale dlatego, że czynił to w sposób jaskrawie

jednostronny, co prowadziło do zastępowania jednych mitów innymi, które były odwrotnościami pierwszych. Cenił boyowską odwagę podejmowania spraw drażliwych, ale nie metodę ich rozpatrywania.

Weryfikacja legendy — Boy zdawał sobie z tego doskonale sprawę — jest zabiegiem tyleż efektywnym, co kontrowersyjnym. Samiśmy tu nie wolni od sympatii i antypatii. Jeżeli ktoś podejmuje weryfikację legendy, której z tych czy innych powodów nie lubimy, nie budzi to poważniejszych oporów. Przeciwnie, spotyka się z aplauzem. Tak było przed laty, kiedy J. Treliak dowodził bezzasadności przypisywania Kościuszcze słów o „Finis Poloniae”, rzekomo wypowiedzianych przez Naczelnika po klęsce maciejowickiej. Podobnie było, kiedy Z. Żalusiński wykazał bezpodstawność mitu o ułańskich szarżach Polaków na niemieckie czołgi w 1939 roku. Ale kiedy ktoś waży się na podobny wysiłek w stosunku do legendy cieszącej się uznaniem, społecznie zaakceptowanej, wówczas spadają nań gromy, jeśli nie pomówienia o tendencyjne uwłaczanie tradycji. Niedawnym tego przykładem była dyskusja, jaka rozgorzała nad dwoma książkami M. Dereckiego o majorze Hubalu. Słowa kryty-

ki, skierowane pod adresem pierwszej z nich na łamach „Odgłosów”, oburzyły do żywego autora warszawskiej „Polityki”, chociaż dotyczyły — wbrew posądzeniu polemisty — tylko spraw metody. Zastrzeżeń tych nie można by już jednak podnieść pod adresem drugiej z prac Dereckiego, a tymczasem właśnie ona zrodziła falę tyleż gromkich, co mało odpowiedzialnych protestów. Przeciwnie czemu? Odpowiedzieć łatwo. Tym bardziej to przykre, że chodziło o rzetelne poszukiwania prowadzone w imię istotnej przecież sprawy.

Legenda i rzeczywistość: jest na pewno pozytywnym objawem, że problematyka ta, tak bardzo ważna i kontrowersyjna, jest coraz bardziej obecna w naszym piśmiennictwie, zarówno naukowym, jak publicystycznym. Nie jest też złe, że stopniowo wyzwała się ona z obciążenia niedobrej tradycji uproszczonego ujmowania tych zagadnień, czego przykładem choćby opublikowane niedawno pokłosie badań nad przemianami tradycji konfederacji barskiej, czy próba zweryfikowania legendy Drzymały. Do tych spraw trzeba będzie jeszcze powrócić.

LEKTOR

Zdarzenia i zwierzenia

Książkę felietonistów

Kiedy żył, nazywano go „księciem felietonistów” i cały Paryż kilka razy w tygodniu zaśmiewał się z jego felietonów-humoresków na łamach gazety „Journal”. Alphonse Allais miał szczęście żyć w czasach, które zwano „la belle époque” — piękna epoka i gazetowy felieton zwiniony był z obowiązku informacji, interwencji, integracji... Głównym obowiązkiem felietonisty była natomiast nieograniczona inwencja w wymyślaniu zabawnych historyjek.

Alphonse Allais starzał się inwencji. To on przecież wynalazł akwarium z matowymi szybami (dla wstydliwych rybek), on stworzył kabaret „Chat Noir”, złożył parę pism, malował obrazy... Na przykład — biały karton nosił podpis: „Pierwsza komunika amnicznych dzieł wcząt wśród śniegu”, czerny karton — „Kardynałowie zbierają pomidory nad Morzem Czerwonym”, czarny karton — „Walka Murzynów w tunelu nocą” i tak dalej... Owe „obrazy” wystawił Allais w roku

1884 w t.zw. salonie „Bezsensownym”.

Kiedy zmarł w 1905 roku rychło o nim zapomniano. Dopiero w roku 1968 wydał wszystkie jego utwory — felietony stanowią tu... dziesięć tomów — prawie pięć tysięcy stron druku. Przypomniano w ten sposób pisarza, którego historycy czytali w pięknej epoce wszyscy.

„Przez wiele lat — pisał paryski kronikarz tamtych czasów — kilka razy w tygodniu obdarzał Alphonse Allais tysiące swoich czytelników radością i śmiechem. W podciągach, które przywoziły do Paryża robotników i drobnych urzędników, w metro, w omnibusach, czy na ulicy, słyszało się często: Czytaliście dzisiejszą historyjkę? Chodziło oczywiście o felieton Alphonse Allais, dzięki któremu przez kilkanaście przynajmniej chwil ci skromni ludzie mogli rzeczywistość ludzi się, że życie jest śmieszne...”

I jeszcze jeden cytat. „Był Alphonse Allais pisarzem wykształconym w tradycji

kpiny, ironii, libertynizmu, tak charakterystycznym dla kultury francuskiej. Ale nie można przy tym nie dostrzec w jego twórczości wpływów humoru anglosaskiego, lubującego się w nonsensie, a w szczególności — czego Allais nigdy nie negował — wpływu Marka Twaina”. Te słowa napisał już współcześnie Arnold Mostowicz, który z ogromnej spuścizny francuskiego „księcia felietonistów” wybrał niewielką, ale uroczą próbkę, prezentując ją w serii „Biblioteki Stańczyka”.

Jednocześnie na łamach „Polityki” odnotowuje renesans Antoniego Slonimskiego. Księciem felietonu go nie nazwę, bo i epoka nie ta, ale myślę, że śmiało można go określić przynajmniej mianem Prezesa felietonistów. Po międzywojennych „Kronikach Tygodniowych”, po „Załatwionym odmownie” i „Konfrontacjach” — na łamach „Polityki” mamy nowy cykl Prezesa — „Alfabet wspomnień”. Wróć tej rubryce

piękną, choć pewno niełatwą, przyszłość.

Na innych łamach zaktualizował się ostatnio Wiceprezes Honorowy — Hamilton, stopnia Naczelnika dochrapuje się Aleksander Małachowski, Andrzej Kijowski zdążył już nawet wydać książkę felietonów, tylko Kisiel coś ostatnio niedomaga. W chwili szczerości napisał niedawno w „Tygodniku Powszechnym”: „Ciężko mi ktoś ostatnio wymyśla, że kiepsko piszę mniejsze felietony. Sam tak, po cichu, myślę...”

Skąd się bierze ten renesans felietonu — nie wiadomo. Może istotnie jest to namiastka dziewiętnastowiecznej powieści obyczajowej, pisanej dla gazet z dnia na dzień? A może to zmodyfikowany „dziennik pisarza”, forma tak popularna przed laty, dziś znajdująca się w zaniku? W każdym razie będzie to kiedyś problem dla historyka literatury, zajmującego się latami 60—70 naszego wieku.

Felieton zresztą przestał być domeną pisarzy i dzien-

nikarzy. W „Kierunkach” duża popularnością cieszy się felieton pisywany przez lekarza, jeden z moich sąsiadów na tej kolumnie jest znany i poważny naukowiec-historyk, drugi dyrektorem dużej instytucji... Słowo „felieton” pochodzi z francuskiego „Feuille”, co znaczy plutek, listek, a zatem coś ulotnego, nietrwałego. Okazuje się — nieprawda. Francuzi przypomineli sobie po 60 latach o Alphonse Allais i kolejne wydania jego felietonów z minionej epoki, są dziś źródłem radości, zabawy i zadumy dla współczesnych. Potężny tom Slonimskiego „Jedna strona medalu” zniknął jak sen jaki złoty z półek księgarni... Ludzie rozpoczynają czytać gazety od ostatniej, felietonowej strony. Nie dziwnego, że zjawisko to napawa dumą Młodszego Referenta Felietonu, jakim jest

WIDOK

Lewym okiem

TATUSIU, KUP MAMUSI...

Z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego odbył się podczas ostatnich Jesiennych Targów Krajowych w Poznaniu pierwszy Międzynarodowy Kongres Reklamy Socjalistycznej. Zaraz na początku okazało się co prawda, że nie jest to kongres pierwszy, bo właśnie w Pradze ma miejsce podobna impreza, a i w Budapeszcie już jakieś spotkanie temu tematowi poświęcono. Zakwestionowano też pojęcie „reklamy socjalistycznej” twierdząc — chyba słusznie — że należałoby mówić o „reklamie w krajach socjalistycznych”. Nie ma przecież socjalistycznej kanalizacji, transportu i medycyny, jest kanalizacja,

transport i medycyna w krajach socjalistycznych. Mniejsza jednak o niuanse i o definicje, których samo sprecyzowanie zajęć by mogło uczonych mężów na długie miesiące i lata. Dyskusji o hodowli drobiu nie zaczyna się od definicji co to jest drób, a romansu — od ścisłego zdefiniowania co to jest pocałunek. Kongres miał nader ambitne cele, przygotowany został od strony organizacyjnej na duży medal, wszystkie kraje socjalistyczne obstarwały licznymi delegacjami złożonymi z fachowców i teoretyków wysokiej klasy. Mówię z pierwszej ręki, bo też brałem udział. Co — nie można się raz pochwalić?

Z natury rzeczy — olbrzymią większość uczestników stanowili przedstawiciele przemysłu i handlu polskiego. Tu już — w tak dużej masie — spotykano się nie tylko fachowców. Jak na wszystkich tego typu imprezach i tu byli pracownicy oddelegowani przez instytucje, które w ten sposób zmanifestowały formalnie swoje zainteresowanie problemem i oddajkowały sprawę. Są tacy zawodowi delegaci, wysłani na wszystkie kurso-konferencje, sympozja, instruktaże i narady. Zawodowy delegat zabiera głos, wygłasza swój numer, bez względu na to czy wiąże się z aktualnym tematem obrad, czy już pięciu przedmówców nie mówiło tego samego, czy w ogóle wnosi coś nowego. Zdarzały się i takie mówki. Ale najgorsze, przerażające wręcz zjawisko to jakaś niegodna, nieprzyzwyczajona, paniczna pogoda za darmo: jeśli, w przerwie jakaś firma organizuje degustację swych wyrobów, to frekwencja podczas przerwy w halu jest trzykrotnie większa niż była przed przerwą na salę obrad. Do kanapek

i do kefiru na stołach szturmują się siłą, z pomocą lokci, jak po wypuszczeniu z głodowej celi. Po przerwie na salę jeszcze więcej pustych krzeseł. Zenujące. W takim gronie, bójcie się Boga! Jeśli jakaś firma rozdała reklamowe drobniadki, to można być pewnym, że wiele osób podejrze tam kilka-krotnie, a słyszy się i widzi takich, co od razu biorą po dwie — trzy sztuki. Dla dziecka, dla mamy, dla żony. Zenujące. Dopiero poza tymi momentami — prawdziwy Wersal, prześciganie się w uprzejmościach, dziękuję, przepraszam, proszę uprzejmie.

W radiowym Kabarecie Reklamowym zgrabnie i do wzięcia teksty reklam układają sam Janusz Minkiewicz i kilku jeszcze prawdziwych pisarzy. To jest mała kropelka dobrego smaku i pomysłowości w niezmiernym oceanie nieporadnego raczkowania reklamy w naszym kraju. Wzdłuż szosy gdzieś od Konina do Poznania stoją gęsto ogromne planse, reklamujące po angielsku łożyska toczne. Ilu Anglików, zainteresowa-

nych łożyskami, jeździ tą szosą? Tubylicy natomiast nie wiedzą, gdzie by napoić swą Syrenkę i samemu coś przetrząść. Specjalne reklamowe wydawnictwo „Gazeta Targowa”, wydawane na pięknym papierze podczas Targów Krajowych, zaprasza wielkimi anonsami do czynienia zakupów w takim to a takim zakładzie, który swą całą produkcję wyprzedził już przed półrokiem na cały rok z góry. I nawet zamawiał ogłoszenie, mając już wszystko sprzedane. Po co się ogłaszał? Bo ma fundusz na reklamę i coś się musi dzieć. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w tejże gazecie zapewnia nas do rymu, że „Czar kółek to nie tylko samochodowe, wystarczą dwa motocyklowe”. Tego nie układał Minkiewicz. Wystarczy dwa takie hasła, żeby odłożyć Gazetę Targową. Na sklepieniu pamiątkarskim napis: „Tatusiu, kup mamusi burzyny” — zaadresowany jest do małych dzieci, co jest sprzeczne z międzynarodowym kodeksem reklamy. Kodeks ten zakazuje zwracać się z reklamą do

dzieci poniżej czternastu lat, bo to jest nadużycie łatwości. Nie wolno głosić hasła: „Mamusiu kup mi lodę, bo będę niegrzeczny”, ani „Dziecie, jedz nasze czekoladki sześć razy dziennie”. Nie wolno szantażować rodziców za pośrednictwem dzieci. Nie wolno ganić cudzych wyrobów, aby tym samym pochwalić własne. Nie pudruj się „Urodą” tylko „Siedmioma Kotami” — jeśli spotkacie podobne hasło, zgłoście milicji. Tak nie wolno. Wolno natomiast namalować uśmiechniętą marchewkę i włożyć jej w „usta” słowa: „Chcesz być silny i zdrowy, korzystaj z naszych uroków”.

Chcesz być radosny i uśmiechnięty, korzystaj z uroków reklamy. Reklamy są zabawne, śmieszne i całkiem głupie. Ale reklam nie może nie być. A jeśli tak — potrzebne są spotkania fachowców i na pewno zaszczytem dla naszego kraju było, że gościł tych fachowców i dał im możliwość wymiany poglądów.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlch, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski (sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 95, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPKI „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2159. D-10.